



MEDYK BIAŁOSTOCKI



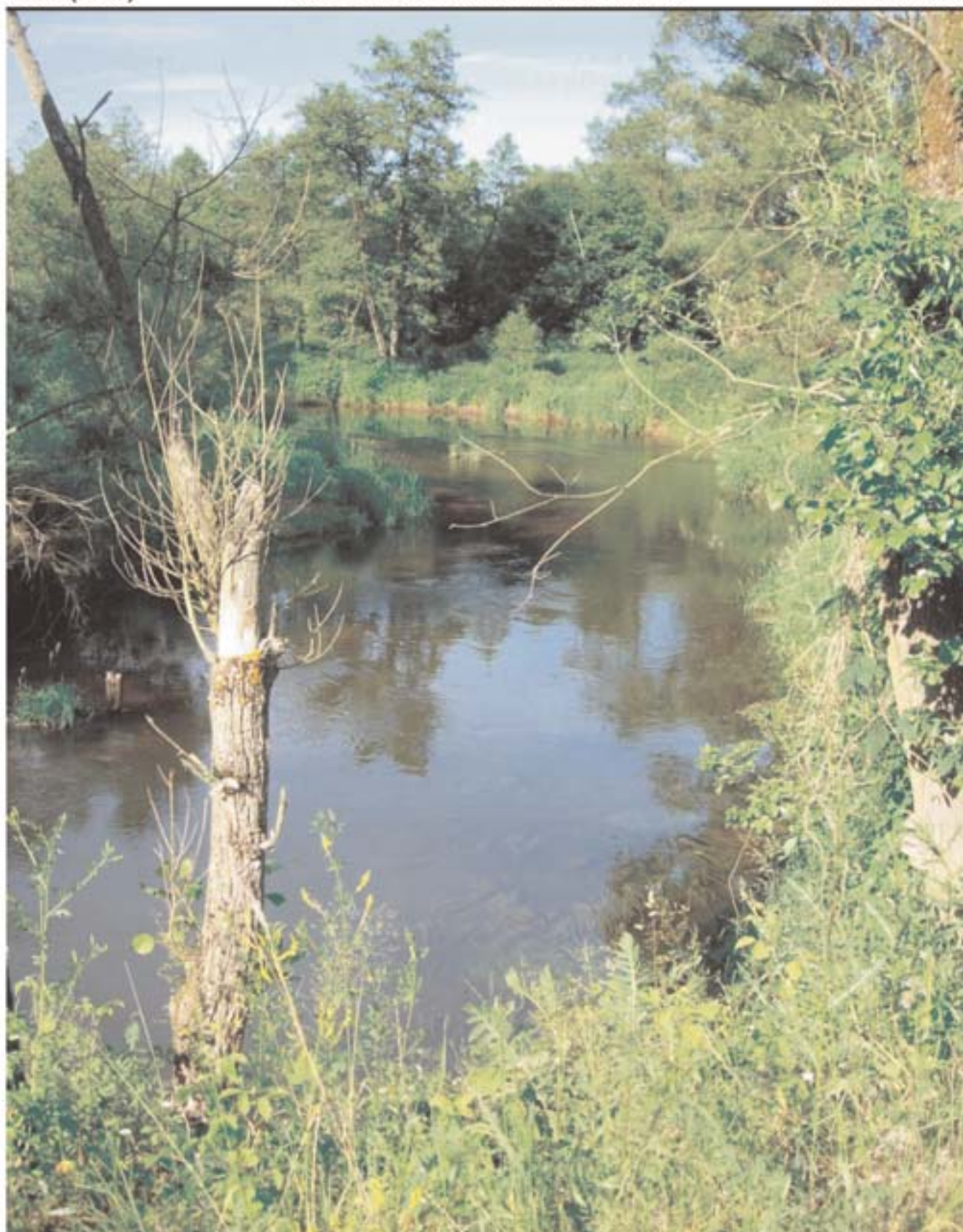
MIESIĘCZNIK BIAŁOSTOCKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ

www.amb.edu.pl

NR 6-7(41/42)

BIAŁYSTOK CZERWIEC-LIPIEC 2006 R.

ISSN 1643-3734



Nowo mianowani profesorowie



E. Chabielska



J. Popko



Z. Mariak



B. Bień



A. Krętowski



E. Jabłońska

Tylko Ci uchylają rąbka tajemnicy

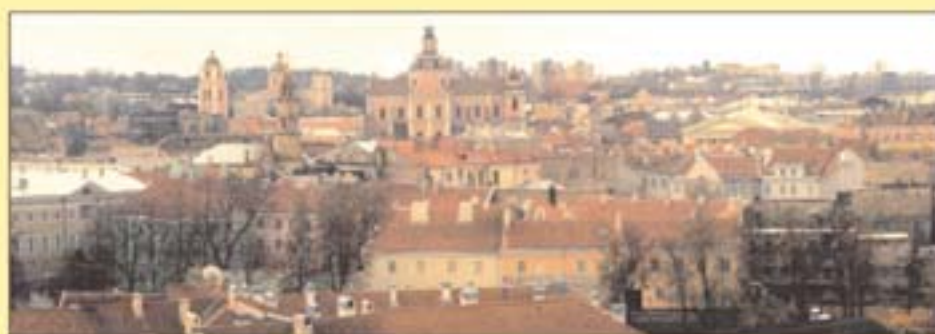


Pielęgniarka w malunkach



Polacy
o tatarskich
korzeniach

List z Wilna



W numerze:



Jacek
Socha

Tête-à-tête z psychoterapeutą

Antykoncepcja na trzy głosy



prof. M. Szamałowicz



dr M. Szymańska



prof. S. Wolczyński



Upadek rezydencji Branickich

SPIS TREŚCI

Od redaktora	str. 3
Wieści z biblioteki	str. 4
Rozmowa miesiąca	
Oby zapukać do właściwych drzwi	str. 5
Profesorskie CV	str. 7
Antykoncepcja na trzy głosy	str. 9
Pielęgniarka w dziecięcych malunkach	str. 12
Temida i Eskulap	
Lekarz i przedstawiciel na jednym wózku	str. 14
Zjazdy, sympozja, konferencje	
„BRONCA“ Podlaskie Sympozjum Pulmonologiczne	str. 15
X Zjazd Naukowy Podlaskiego Towarzystwa	
Medycyny Nuklearnej	str. 16
W Ministerstwie było miło	str. 17
Z historii nauk biomedycznych	
Historia mego udziału w walce z rakiem	str. 17
Wspomnienia i refleksje	
Wspomnienie o prof. Wiktorze Hassmannie	str. 19
250. urodziny Jana Śniadeckiego	str. 21
Wirusowe Zapalenie Wątroby	str. 23
Korespondencja z Bethesdy	str. 24
Pałacowe sekrety	
Ku upadkowi	str. 25
Miasta naszego regionu	
Słona perła	str. 27
Pigulka filozoficzna	
Świadomość kresu istnienia	str. 29
Wędrowki po kresach	
List z Wilna	str. 30
Neurologzy wileńscy w latach 1918-1939, cz. 4	str. 34
Polacy o tatarskich korzeniach	str. 36
Kamienie z nieba	str. 38
To nie jest zwykły las	str. 40
Lektury czytane po północy	str. 42
Wydarzenia i aktualności	str. 43



OD REDAKTORA



Zadziwienia wileńskie, zadziwienia słoną perłą – kurortem w Druskiennikach, zadziwienia polskimi pozostałościami na Podolu! Jednym słowem wędrowki po dawnych polskich kresach. Przygotowując bieżący numer *Medyka* do druku, nie mogłem nie ulec nastrojowi nietuzinkowego opisu dzisiejszego Wilna, a także historii znanego – niegdyś polskiego kurortu, w którym lubił odpoczywać Marszałek Piłsudski. Jestem także pod wrażeniem listu z Podola – z Chersonia, jaki otrzymałem od naszego kolegi, doktora Bodnara.

Ileż można zaobserwować podczas jednego spaceru po mieście! Oczywiście pod warunkiem, że zna się jego historię, miejsce obdarza się szczególnym sentymentem, jest się bystrym obserwatorem, a także Pan Bóg obdarował nas szczególnym darem jakim jest wrażliwość. List pisany z Wilna do zagadkowego Piotra (bliższego znajomego? przyjaciel? członka rodziny?) autorstwa Aliny Midro (tekst znajdziecie Państwo w bieżącym numerze *Medyka*) zawiera wszystko to, czego życzyłbym naszym czytelnikom i sobie, podczas wakacyjnych podróży. Alina kocha Wilno. To, przecież w nie tak jeszcze odległych czasach, polskie miasto jest dla autorki zaiste miejscem magicznym. Była w nim wielokrotnie, a przecież za każdym razem potrafi patrzeć na nie świeżym okiem. Spacerując, z zadziwieniem i z dziecięcą ciekawością przygląda się znanym miejscom i zwykłym ludziom spotykanym na wileńskich uliczkach. Ten list, to najlepsza zachęta do odwiedzenia Wilna. W obecnej, unijnej rzeczywistości, to żaden problem. To tak, jak podróż z Białegostoku do Warszawy – no, może do Krakowa. A jeśli wybieramy się do Wilna, to dłaczego nie zahaczyć o Druskienniki. Przecież to tylko 50 km od Sejna. Ale przedtem koniecznie trzeba przeczytać piękny opis historii kurortu pióra prof. Dobrońskiego, który można znaleźć wewnątrz bieżącego numeru *Medyka*.

Podole – Lwów, Chersoń, Kamieniec Podolski, Buczacz, Tarnopol... to już wyprawa. Podziwiam doktora Bodnara, który – aby raz w roku powędrować polskimi szlakami na Podolu – oszczędza prze wiele miesięcy grosze ze swej skromnej emerytury. Ale przecież na tych terenach znajdują się całe wsie zamieszkałe przez polonusów o nazwisku Bodnar. Jego list z Chersonia, to znak szczególnego przywiązania do ziemi, historii, kultury i ludzi. Jest coś w każdym z nas, i jest to bardzo ludzkie, co każe wracać do przeszłości, szukać korzeni, mieć kontakt z duchami przodków, mieć kontakt z ziemią, na której żyli, która ich karmiła. Czyż to nie jest piękne? Doktor Bodnar już powrócił do kraju. Przywiózł wiele nowych obserwacji i inicjatyw. Jest pełen niepokoju o zachowanie polskiego języka i obyczajów, które nie są tam obecnie pielęgnowane. Do niedawna ostoją polskości był katolicki kościół. Ponoć ostatnio tak nie jest. Jak zwykle, podczas relacji z podróży, wypiliśmy herbatę i jedliśmy ukraińską chałwę o szczególnym smaku, bo zrobioną z ziaren słonecznika.

Kogo nie stać na podróże po kresach, niech się wybierze na Polanę Białowieską i do Puszczy. Przed wycieczką do Białowieży koniecznie należy zapoznać się z tekstem Ani Worowskiej (*To nie jest zwykły las*), a także z wywiadem ze znanym ornitologiem prof. Tomaszem Wesołowskim z Uniwersytetu Wrocławskiego, które znajdziecie Państwo w bieżącym *Medyku*. Białowieżę zna każdy z nas, ale czy każdy ją rozumie? Moje zadziwienia białowiesko-puszczańskie datują się od kilku lat. W zrozumieniu fenomenu Białowieży pomogła mi Simona Kossak i jej *Saga Puszczy Białowieskiej*.

Dopełnieniem naszych wakacyjnych peregrinacji jest ciekawy i mądry wywiad (zebrany przez młodą Aleksandrę – córkę Danuty Ślósarskiej, sekretarz naszej redakcji) z przedstawicielką polskich Tatarów Halimą Szahidewicz. Pani Halima jest przewodniczącą gminy muzułmańskiej w naszym grodzie. Jest, tak jak większość jej rodaków, wyznawczynią islamu. Stoi na stanowisku, iż Boga można wyznawać i czcić na różne sposoby. A różnorodność religii, obrzędów, wyznań? Wynika z uwarunkowań geograficznych, historycznych i kulturowych. Dodaje naszym przygranicznym terenom szczególnego kolorytu. Na pewno nie powinna być przyczyną jakichkolwiek zaburzeń relacji międzyludzkich.

Materiały do numeru przyjmujemy do dn. 10 każdego miesiąca.

Skład redakcji:

Redaktor naczelny: Lech Chyczewski
 Zastępca redaktora naczelnego i kronikarz: Krzysztof Worowski
 Sekretarz redakcji: Danuta Ślósarska
 Członkowie: Alina Midro, Wiktor Łaszewicz, Ilona Lengiewicz,
 Anna Worowska, Adam Hermanowicz, Joanna Kruszewska, Wojciech Sobaniec
 Współpracownicy: Jan Pietruski, Wojciech Dębek, Marek Kamiński (USA).
 Dział studencki: Paweł Szambora i Maria Stepaniuk oraz
 Joanna Łazarczyk-Kirejczyk, Ewelina Zaremba, Hanna Michalska, Anna Zalewska,
 Urszula Dworżańczyk
 Skład komputerowy: Marzena Szleszyńska
 Strona internetowa: Andrzej Bortacki

Druk: Zakład Poligraficzny ABIS
 15-227 Białystok, ul. Zwierzyniecka 72, tel. 0 695 487 014

Adres redakcji:
 Biblioteka Główna Akademii Medycznej
 15-089 Białystok 8,
 ul. Kilińskiego 1,
 tel. (085) 748 54 85 (Danuta Ślósarska)
 e-mail: medyk@amb.edu.pl
 http://www.amb.edu.pl

Adres redakcji studenckiej:
 Siedziba organizacji studenckich, DS1
 ul. Akademicka 3; tel (85) 748 58 13

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i opracowania tekstów oraz zmiany ich tytułów.

DRUGA EDYCJA KONKURSU

Redakcja miesięcznika „Forum Akademickie”

ogłasza konkurs na artykuł popularnonaukowy

SKOMPLIKOWANE I PROSTE

MŁODZI UCZENI O SWOICH BADANIACH

Honorowy patronat nad konkursem objął prof. Michał Seweryński, Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

W konkursie mogą wziąć udział pracownicy naukowcy uczelni i instytutów badawczych oraz doktoranci, którzy nie ukończyli 35 roku życia.

Artykuły powinny dotyczyć własnych badań naukowych uczestników konkursu lub badań, w których brali oni udział. Na konkurs będą przyjmowane teksty w języku polskim o objętości 10-12 tys. znaków (ze spacjami) w trzech egzemplarzach opatrzonych godłem (tekstowym lub graficznym). Można dołączyć fotografie i rysunki obrazujące badania.

Do prac należy dodać zaklejoną kopertę z godłem zawierającą dane osobowe autora (imię, nazwisko, wiek, stopień naukowy, adres, numer telefonu, adres e-mail) i krótką notę o przebiegu pracy naukowej.



W sierpniu, z powodu remontu magazynu, biblioteka będzie nieczynna. Zasoby biblioteki będą udostępniane elektronicznie. Z bazami pełnotekstowymi i bibliograficznymi

będzie można łączyć się ze wszystkich komputerów pracujących w sieci akademickiej oraz przez serwer proxy z dowolnego komputera. Z serwera proxy mogą korzystać jedynie pracownicy naukowcy i dydaktyczni uczelni. Hasła dostępu można uzyskać w sekretariacie biblioteki do końca lipca.

Artykuły z czasopism drukowanych będzie można zamawiać w systemie doc@med. System umożliwi przesyłanie na adres e-mailowy zeskanowanego artykułu w pliku pdf. Zamówienie w systemie można składać z dowolnego komputera, po wcześniejszym założeniu konta prepaid i uiszczeniu przedpłaty.

We wrześniu w bibliotece uruchomimy usługę elektronicznej rezerwacji czasopism do czytelnika. Użytkownik, przed przybyciem do biblioteki, będzie mógł wypełnić na stronie www biblioteki formularz zamówienia. Dzięki tej usłudze, zamówione czasopismo będzie dostarczone z magazynu do czytelnika przed przybyciem czytelnika. W efekcie czytelnik nie będzie tracił czasu na oczekiwanie na zamówione materiały.

Danuta Dąbrowska-Charytoniuk
p.o. Dyrektor Biblioteki Głównej AMB

Prace prosimy przysyłać pod adresem redakcji do 30 listopada 2006 roku z dopiskiem „Konkurs” (liczy się data stempla pocztowego).

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w grudniu 2006.

Nagrody:

- **I nagroda:** laptop, ufundowany przez Związek Banków Polskich, oraz weekend w Pałacu Wiejce www.wiejce.pl dla dwóch osób, w apartamencie z wyżywieniem, o wartości 1200 zł, ufundowany przez firmę **Horizon Travel** www.horizon-travel.pl, profesjonalnego organizatora konferencji i twórcę portalu organizatorów konferencji (www.confereo.pl).
- **II nagroda:** 2 noclegi w hotelu St. George w Kudowie www.kongrescentrum.pl (dla 2 osób, ze śniadaniem, obiadową kolacją i 2 zabiegami w klinice Beauty and Spa), ufundowana przez **Horizon Travel** oraz nagroda pieniężna 2000 zł ufundowana przez firmę **Carl Zeiss sp. z o.o.**, dostawcę sprzętu mikroskopowego i oprogramowania do analizy obrazu.
- **III nagroda:** weekend w hotelu Qubus 4* w Krakowie www.qubushotel.com (dwa noclegi dla dwóch osób, ze śniadaniem) ufundowana przez **Horizon Travel** oraz nagroda pieniężna ufundowana przez **Millipore**, producenta sprzętu do filtracji laboratoryjnej i przemysłowej.

Wyróżnienia:

Każdy laureat trzech równorzędnych wyróżnień otrzyma trzy komplety nagród ufundowanych przez **SAS Institute**, światowego lidera w zakresie Business Intelligence:

1. Oprogramowanie SAS Learning Edition JMP IN
2. Dwie dowolne książki z SAS Publishing, zgodnie z zainteresowaniami laureata
3. Kursy on-line: SAS Self-Paced e-Learning

Nagroda dla jednej osoby ma wartość ponad 2000 zł.

Najlepsze artykuły zostaną nagrodzone i opublikowane w „Forum Akademickim”.

W jury zasiądą znani popularyzatorzy nauki.

Teksty nadesłane na konkurs nie będą zwracane.

Szczegółowe informacje:

Grzegorz Filip,
tel.: (0-81) 524 02 55, 528 08 22-23

Regulamin konkursu:

<http://www.forumakad.pl/regulamin.html>



Oby zapukać do właściwych drzwi

Jacek Sochacki – psycholog, psychoterapeuta, pracujący w Ośrodku Psychoterapii Medycznej s.c. Niepublicznego Zakładu Opieki Zdrowotnej w Białymstoku.



Jak należy zwracać się do psychoterapeuty? „Panie doktorze” to trochę na wyrost,

„panie magistrze” brzmi dziwacznie.

Moi pacjenci mówią najczęściej „panie Jacku”. Forma „panie doktorze”, gdy terapeuta jest „prostym magistrem” jest rzeczywiście niewłaściwa, natomiast zwrot „panie magistrze” nie brzmi dobrze, stwarza dystans. Ja do swoich pacjentów zwracam się, używając imienia poprzedzonego przedrostkiem „pan” lub „pani”.

Czy zdarza się panu przechodzić na „ty” z pacjentem?

Tylko, gdy mam do czynienia z pacjentem psychotycznym, którego rozumienie rzeczywistości jest bardzo zaburzone i gdy wiem, że mój kontakt z pacjentem będzie trwał dłużej. Po wielu latach znajomości, systematycznego spotykania się raz w tygodniu, tworzy się więź, przywiązanie i taka forma porozumiewania się jest wtedy jak najbardziej naturalna.

Czy ta więź może skutkować uzależnieniem się pacjenta od psychoterapeuty?

Sprecyzujmy terminologię. Termin „uzależnienie” najczęściej mówi o patologicznej formie przywiązania, która połączona jest z cierpieniem. Czym innym jest zależność, która ma konstruktywny charakter. Niemowlę też jest zależne od matki, a przecież w przypadku takiej relacji nie mówimy o zaburzeniu.

Wobec tego, czy można się przywiązać do swojego terapeuty?

Bardzo proszę, nie tylko można, nawet trzeba. W medycynie, prawie zawsze, liczymy na to, że pacjenci będą się przywiązywać do lekarzy, np.: pierwszego kontaktu. Opiekując się pacjentem, przez dłuższy czas, lekarz może dostrzec zjawiska niedostępne w krótkoterminowej obserwacji, ma szansę odkryć związki między faktami, zauważyć pojawiające się prawidłowości. Podobnie w psychoterapii. Współpracując z pacjentem, tworzymy i budujemy więź właśnie po to, aby pacjentowi pomóc.

Wiele osób zamiast do psychoterapeuty chodzi do wróżki. Wróżka też pomaga.

Najczęściej ludzie idą do wróżki, bo chcą poznać przyszłość, gnani niepokojem. W moim rozumieniu, wróżki, mniej lub bardziej rozmyślnie i kompetentnie, posługują się hipnozą, czyli tym samym mechanizmem, który bezwiednie wyko-

rzystują wszystkie mamy, opowiadając dzieciom bajki, przytulając, mówiąc, że wszystko będzie dobrze. W ten sposób wróżki łagodzą lęk, pozwalają spokojniej funkcjonować, choćby przez chwilę. Później okaże się, że zostaliśmy oszukani lub stworzymy „samopotwierdzającą się przepowiednię”.

Podobną rolę, często pełnią też uzdrowiciele „niekonwencjonalni”; pocieszają i dają nadzieję. Ludzie chodzą do różnych szamanów, dlatego że nie radzą sobie ze swoją emocjonalnością w wyniku choroby stresie, a lekarze nie są odpowiednio wyszkoleni w psychoterapii. Często leczenie przebiega w smutnej, zniechęcającej pacjenta atmosferze. Lekarze często nie potrafią rozproszyć trosk pacjenta. Zdarza się, na szczęście coraz rzadziej, że subiektywne zmartwienia pacjenta są po prostu lekceważone, bagatelizowane, a to kieruje pacjentów do innych drzwi. Często do wróżek i szarlatanów.

Jak odróżnić psychoterapeutę od szarlatana?

Szarlatani upodobniają się do przedstawicieli tych zawodów, które markują. Na przykład: szarlatan, który udaje lekarza, będzie nosił biały fartuch i będzie posługiwał się tytułem wziętym z medycyny, najlepiej profesorskim. Nazwie swoją placówkę przychodnią lub ośrodkiem medycyny oryginalnej – nietypowej, specjalnej. Nietypowa nazwa powinna wzbudzać ostrożność.

Jeśli, do tego jeszcze, „terapię” nie są potrzebne wyniki badań laboratoryjnych to znaczy, że uzyskuje on wiedzę o funkcjonowaniu organizmu z równie nietypowych jak nazwa źródeł, np.: koloru oczu, włosów, fusów, czy barwy powietrza nad głową. Jeśli ma pani do czynienia z psychoterapeutą, który nie współpracuje na co dzień z lekarzem, to jest to ktoś, kto nie bierze pod uwagę, że dolegliwości psychiczne, z którymi pani przychodzi mogą mieć podłoże somatyczne, organiczne, mogą wynikać na przykład z zaburzeń endokrynologicznych. To „redukcjonista”. Przy takich ograniczeniach łatwo o pomyłkę, łatwo o błąd.

Jakie kwalifikacje powinien mieć psychoterapeuta?

To określi w najbliższym czasie ustawa o zawodach mających zastosowanie w medycynie. Łatwiej zapytać, gdzie go znaleźć, gdzie szukać. Większość kwalifikowanych psychoterapeutów ma podpisane kontrakty z NFZ. Są też listy placówek i psychoterapeutów rekomendowanych przez →

Polskie Towarzystwo Psychologiczne lub przez Polskie Towarzystwo Psychiatryczne. Przed pójściem na spotkanie lecznicze warto sprawdzić czy mamy do czynienia z kimś kompetentnym, czy ze specjalistą domowego chowu.

Osobiście nie wyobrażam sobie psychoterapii funkcjonującej inaczej, niż w obrębie nauk medycznych.

Czy psychoterapeuta powinien posiadać certyfikat?

Powinien i zawsze warto sprawdzić przez kogo został wydany. To forma rekomendacji i warto wiedzieć, jakie gremium rekomenduje nam tego specjalistę. Popularne są np. certyfikaty Towarzystwa Astropsychologicznego wsparte dyplomem Akademii Awiacji w Mińsku. Warto pomyśleć, co to właściwie jest. Z czego znane są Akademia Astropsychologii w Białymstoku i Akademia Awiacji w Mińsku.

I tym terapeutom mówimy „nie”?

Nie wiem. Sam nigdy nie widziałem psychoterapeuty z tej „szkoły” w pracy i wolałbym nie opiniować czegoś, czego nie znam. Podchodziłbym jednak ostrożnie. Nie słyszałem, aby ktoś z astropsychologów wypowiadał się na jakimkolwiek kongresie medycznym. Nie widziałem też żadnej pracy opublikowanej przez jej pracowników czy absolwentów w czasopiśmie naukowym. Więc, niestety podchodzę nieufnie. Jestem zdania, że znaczące są rekomendacje uznanych towarzystw medycznych: psychiatrycznego czy seksuologicznego. Także innych o wieloletniej tradycji np. Polskiego Towarzystwa Psychologicznego czy stowarzyszeń o światowym zasięgu: np. psychoanalitycznego. Jednym słowem: nie ufałbym nowym i małym, a bazował na dużych i starych.

Na kongresie w Krakowie prof. A. Pritz z Europejskiej Federacji Psychoterapii stwierdził, że z jego szacunków wynika, że w Polsce potrzebnych jest około 20 tysięcy psychoterapeutów.

[Zirytowanie]. Doktor Pritz [Polska Federacja Psychoterapii przedstawia Alfreda Pritza jako profesora – od red.] jest znany z kontrowersyjnych wypowiedzi. Europejska Asocjacja Psychoterapii działa raptem kilkanaście lat i stawia sobie przede wszystkim cele polityczne. Jej głównym zadaniem ostatnio jest usankcjonowanie prawne zawodu psychoterapeuty w Europie.

Trudno mi odpowiedzieć na podstawie czego dr Pritz podał te dane i skąd ma tę wiedzę. Ciekawe ilu psychoterapeutów brakuje jego zdaniem w Białymstoku?

Ale według pana brakuje czy nie?

Brakuje. Na pewno brakuje. Natomiast „ilu” to bardzo trudne do stwierdzenia, bo jeżeli, gdzieś nie ma stomatologa, to nikomu nie przychodzi do głowy, żeby do niego pójść.

Dawniej, gdy komuś dokuczał ból zęba, szedł usunąć ząb do kowala lub robił to sam. Natomiast, gdy pojawił się już stomatolog, to „nagle” okazało się, że mnóstwo ludzi ma potrzebę leczenia zębów. Karol Marks napisał, że podaż ma wpływ na popyt. Także w medycynie.

Ilu mamy psychoterapeutów z certyfikatem w Białymstoku?

Na Podlasiu siedmiu, sześciu w Białymstoku, czterech w naszym ośrodku.

Moja babcia nie chodziła do psychoterapeuty, pana, podejrzewam, też nie. Czy, dlatego że go nie było, czy może dlatego, że nie miała problemów?

Może miała problemy, tylko nie miała do kogo pójść? Kilkadziesiąt lat temu także były społeczności, zawsze był ktoś, do kogo zwracano się o pomoc, ktoś, kto pełnił rolę psychoterapeuty. W środowisku żydowskim taką rolę pełnił na przy-

kład rabin, w społeczności katolickiej był to ksiądz, gdzie indziej: znachor, światły mąż, lokalny prorok, guru. Kobiety skupiał rytuał darcia pierza, podczas którego rozmawiało się o życiowych sprawach, mężczyźni spotykali się u kowala; istniały pierwsze formy psychoterapii grupowej.

A może moja babcia nie komplikowała sobie życia?

Może dla niej białe było białe, a czarne było czarne i nie doszukiwała się nie wiadomo czego?

[Wzburzenie]. Jeszcze sto lat temu człowiek chory na cukrzycę spokojnie sobie umierał. Coś mu dolegało, źle się czuł, a potem nagle „wziął i umarł”. Pogrzebano go, ludzie popłakali i sprawa się rozwiązywała. Dawniej nie było problemu, dzisiaj jest. Cukrzycę leczymy angażując cały przemysł. Lekarzy, pielęgniarki, dietetyków, psychologów. Tabuny ludzi. Czy to znaczy, że nadymamy problem, że przesadzamy z tą cukrzycą? Warto się zastanowić, co chcemy po sobie zostawić, czy świat, w którym problemy się rozwiązują, czy taki, który wyznaje zasadę „wziął i umarł”? Rozwój powoduje, że coraz więcej rzeczy musimy nazwać. W ten sposób komplikujemy i komplikujemy. Jak wykazał Goedel – bez końca.

A może świat przeżywamy silniej niż 30 lat temu?

A skąd wiadomo, że silniej? To uproszczenie. Dwadzieścia lat temu, mógł przyjść do mnie pacjent nieprzystosowany społecznie – z „patologiczną” uczciwością. Taki, który pracował w masarni, w której wszyscy kradli mięso, a on jeden tego nie robił i czuł się z tym źle.

Profesor **Alfred Pritz**, Sekretarz Generalny Europejskiego Towarzystwa Psychoterapii (EAP) na kongresie w Krakowie, 9 kwietnia 2005 roku, przedstawił sytuację prawną psychoterapeutów w różnych krajach Unii Europejskiej. Mówił, że tam gdzie dostęp do zawodu psychoterapeuty jest ograniczony do psychologów i psychiatrów, rozkwita kontrowersyjna działalność tzw. pomagaczy, pozostających poza standardami zawodowymi. Podkreślał zasadność rozwiązań, ujmujących jak najszerszą grupę osób uprawiających psychoterapię, reprezentujących wszystkie nurty i podejścia w psychoterapii.

EAP, działając na rzecz wykonywania ustawy o harmonizowaniu zawodu psychoterapeuty, jednocześnie promuje swój certyfikat.

źródło: Internet

Był pośmiewiskiem. Dzisiaj ktoś, kto kradnie, nazywany jest po prostu złodziejem i jeśli ma problem, to dotyczy on jego lepkich paluszków.

Zmieniła się struktura społeczna, zmieniły się konteksty, zmieniły problemy. Trzydzieści lat temu myślenie ludzi było inne przede wszystkim jakościowo, co nie znaczy, że nie było wtedy problemów i że ludzie ich nie przeżywali.

W Ameryce prawie każdy szanujący się obywatel ma swego psychoterapeutę, tam panuje nawet pewna moda na korzystanie z pomocy psychoterapeutów.

Stomatologia też jest tam modna, chirurgia też. Nawiasem mówiąc: jak pani myśli, gdzie jest modniejsza neurochirurgia w Korei Południowej czy w Ameryce Południowej?



Mówiąc o neurochirurgii, nie użyłabym określenia „moda”.

To dlaczego używa określenia w odniesieniu do psychoterapii, czemu pani myśli o psychoterapii jako o dziwactwie?

Światowa Organizacja Zdrowia szacuje liczbę osób potrzebujących jakiejś formy psychoterapii na 10-15 procent każdego społeczeństwa. W Polsce, według Instytutu Psychiatrii i Neurologii, pomocy oczekuje o 15-20 procent więcej pacjentów niż w latach 90-tych. Oznacza to, co najmniej, trzymilionową populację osób potrzebujących pomocy.

źródło: Internet

A psychoterapia nie jest dziwactwem?

[Ironia] Ależ oczywiście, że jest. Znam lekarza, który jednoosobowo leczy wszystko: od wyrostka robaczkowego po uzależnienie od alkoholu. Na wszystkim się zna. Czy nie sądzi pani, że mnogość specjalistów, mnogość klinik w Akademii Medycznej, to z tej perspektywy rozrzutność i dziwactwo? Czy jeden wykształcony dobrze lekarz nie wystarczy? Czy nie moglibyśmy zlikwidować choćby kilku instytutów na jego korzyść? To naprawdę znakomity specjalista. Umie wszystko. Ma także prawo jazdy. Jak podoba się pani taka postawa? Czy pójdzie pani się do niego leczyć? A może pośle kogoś bliskiego?

Wierzę, że przyszłość nie należy do redukcjonistów. Mam nadzieję, że nie wystarczy jeden „prawdziwy polityk”, „prawdziwy wódz” i jeden światopogląd. Mimo że pogląd o jednej, dominującej rasie uchodzi w niektórych kręgach za dobrze udokumentowany.

Erich Fromm pisał, że tak właśnie zaczyna się faszyzm. Od uznania za dziwaczne i niepotrzebne. Na początek psychoterapeutów, następnie ich pacjentów, potem... czy mogę tego nie kończyć?

Często osoby chodzące do psychoterapeuty odbierane są przez społeczeństwo jako te gorsze, jako te, które nie radzą sobie z problemami. Po prostu słabe.

Tak. Przez tę część społeczeństwa, której filozofię opisałem. Na szczęście ulega to zmianie. Kiedyś, gdy ktoś miał problemy natury psychicznej, mówiono, że jest głupi, pomyłony, dziwak czy wariat. Najbardziej niebezpiecznych zakuwano w kajdany i można było spokojnie żyć – nie było żadnego problemu. Pytanie, czy rzeczywiście życzymy sobie żyć w świecie z kajdanami, świecie, w którym z lękiem myślimy o słabościach, w którym słabych się eliminuje?

Ja raczej życzę swoim dzieciom świata przyjaznego, przyzwalającego. Takiego, w którym otwarcie mówi się o słabościach i który jest wyposażony w aparaturę do ich nazywania i rozwiązywania, o profilaktyce już nie wspominając. Życzę więc sobie i następnym pokoleniom świata pełnego specjalistów: psychoterapeutów i doradców. Także strażaków, choć przecież wielu ma zawsze przy sobie sikawkę.

Pytania zadawała **Danuta Ślósarska**
Tekst po autoryzacji.

Ostateczna forma wypowiedzi
zredagowana przez rozmówcę.

Profesorskie CV

Na pytania Adama Hermanowicza odpowiadają nowo mianowani profesorowie: **Barbara Bień**, **Adam Krętowski**, **Ewa Jabłońska**.



Fot. Barbara Bień.

1. Wspomnienie z dzieciństwa.

B. B.: Dzieciństwo wspominam z wielką czułością, głównie dzięki miłości i poczuciu bezpieczeństwa, w których wyrastałam i których doświadczałam ze strony rodziców. W okresie mojego wczesnego dzieciństwa, mama nie pracowała zawodowo. To głównie ona dbała o rozwijanie dodatkowych talentów moich i siostry – pamiętam szkołę baletową państwa Januskiewiczów i występy na deskach Teatru Dramatycznego im A. Węgierki, które co roku wieńczyły pracę zespołu baletowego. Lekcje gry na fortepianie nie przyniosły co prawda osiągnięć w tej dziedzinie, ale prawdopodobnie wpłynęły na kształtowanie się mojej wrażliwości, nie tylko muzycznej.

A. K.: Mnie utkwiły w pamięci wielokrotne pobyty w szpitalu przy ul. Wołodyjowskiego. Jako kilkuletni chłopiec miałem okazję bardzo dobrze poznać, z drugiej strony, swój przyszły zawód.

E. J.: To bardzo odległe czasy... ale kiedy sięgam pamięcią do okresu dzieciństwa, to najczęściej powraca do mnie wspomnienie pierwszych wakacji spędzonych na wsi, pozbawionej prądu. Życie tam toczyło się według zegara słonecznego, swoim powolnym, zgodnym z naturą tempem. Uwielbiałam atmosferę wieczorów spędzanych przy lampie naftowej, pysznych serach i miodach z własnej pasieki.

2. Czy zawsze pani/ pan byli prymusami w szkole?

B. B.: Tak i przychodziło mi to z łatwością. Zawsze byłam ciekawa świata i chciałam go zrozumieć. Oczywiście im więcej się dowiadywałam, z tym większą pokorą podchodziłam do posiadanej wiedzy.

A. K.: Nie wypada się chwalić, ale ze mną było podobnie. Najbardziej jednak z tego okresu jestem dumny z →



Fot. Adam Krętowski.

wygrania mistrzostwa Białegostoku w konkursie budowy latawców, wysokich lokat w konkursach matematycznych oraz Nagrody Ministra Zdrowia za wyniki egzaminu wstępnego na Akademii Medycznej.

E. J.: Jeśli chodzi o mnie, to różnie to bywało. W szkole podstawowej byłam bardzo dobrą uczennicą, ale w liceum nieco się zmieniło. Miałam swoje ulubione przedmioty, z których otrzymywałam dobre oceny. Moją pasją w szkole podstawowej i na początku szkoły średniej była szkoła muzyczna, w której ukończyłam klasę fortepianu. Spotkałam tam fantastycznych ludzi, którzy wywarli ogromny wpływ na moje dalsze życie.

3. Jak wspominają państwo studia?

B. B.: Wychowywałam się w rodzinie lekarskiej, więc wybór kierunku studiów był dla mnie oczywisty. Ten okres wspominam bardzo dobrze, dzięki wspaniałym kolegom z roku, niezwykłym wykładowcom i panującej atmosferze. Okres studiów to również praca naukowa pod kierunkiem docent Ireny Gałasińskiej-Pomykoł i kilka dobrych publikacji. Ten czas to także praca społeczna w sądownictwie koleżeńskim, w tym w Naczelnym Sądzie Koleżeńskim w Warszawie, ale i wspaniałe studenckie wyjazdy wakacyjne.

A. K.: Studia skończyłem po 1989 roku. Ten czas wspominam przede wszystkim jako okres uzyskania wolności w kraju, ale i intensywnej pracy na uczelni.

E. J.: Moje studia przypadły na bardzo ciekawe i niepokorne czasy, przełom lat 70. i 80-tych. Do dziś pamiętam różne postawy zarówno wśród studentów jak i nauczycieli akademickich, wobec zachodzących w naszym kraju przemian.

4. Czy uważa się pan/pani za osobę wymagającą w stosunku do studentów?

B. B.: I tak i nie. Najlepiej odpowiedzieliby na pytanie sami studenci. Cenię u nich pełne szacunku podejście do pacjenta, zrozumienie jego problemów, jak również logikę rozumowania diagnostyczno-terapeutycznego. Natomiast zasób wiedzy winien być wzbogacany w ustawicznym procesie doksztalcania, toteż pod tym względem jestem wyrozumiała.

A. K.: Mam nadzieję, że jestem raczej tolerancyjny, choć próbuję pozytywnie zmotywować moich studentów do zdobywania najnowocześniejszej wiedzy, nie tylko z podręczników.

E. J.: Jestem wymagającym nauczycielem, zwłaszcza w stosunku do tych, których stać na więcej niż przeciętność. Cieszą mnie sukcesy moich wychowanków, którzy świetnie radzą sobie w pracy naukowej. Mam wówczas poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

5. Czego najbardziej nie lubi pani/pan w życiu codziennym?

B. B.: Chaosu, biurokracji i bezsensu zarządzeń. Trudno się wtedy pracuje.

A. K.: Najgorsze jest ranne wstawanie...

E. J.: Nie znoszę braku odpowiedzialności, przeraża mnie bezsilność i przemoc. Życie byłoby o wiele łatwiejsze, gdyby wszyscy okazywali sobie więcej życzliwości.

6. Co sprawia państwu największą radość?

B. B.: Zazwyczaj poczucie, że wszelkie tzw. zaległości są odrobione a problemy pokonane. Obecnie największą radość sprawiła mi nowo narodzona i prześlizczna wnuczka, którą śpieszę odwiedzić w dalekiej Moguncji.

A. K.: Sprawianie przyjemności innym...

E. J.: Największą radością są moje dzieci i ich sukcesy: Maćka – studenta IV roku Lingwistyki Stosowanej UW i Agatki – studentki II roku Ochrony Środowiska UwB. Wydaje się, że odnalazły już swoje miejsce w życiu. Wiele przyjemności sprawiają mi spotkania z przyjaciółmi i wspólne podróże.



Fot. Ewa Jabłońska.

7. Zainteresowania pozanaukowe.

B. B.: Jak dotąd nie miałam wiele czasu na realizowanie swoich zainteresowań. Lubię podróżować, poznawać ciekawych ludzi i nowe miejsca. Przyjemność sprawiają mi banalne zajęcia domowe, które odrywają mnie od problemów zawodowych i moich pacjentów.

A. K.: Interesuje się sportem (Jagiellonia, Tour de France, football amerykański – jestem fanem Broncos), polityką, internetem – obecnie (w czasie pobytu w Denver) czytam wszystko co jest związane z Polską. Niecierpliwie czekam na każdy nowy elektroniczny numer Medyka! W czasie jazdy do lub z pracy słucham dobrej muzyki. Ostatnio jestem zaczarowany płytą Katie Melua „Piece by piece”

E. J.: Wyciszam się przy muzyce klasycznej i literaturze. Lubię ruch na świeżym powietrzu, stąd moje ulubione sporty, to żeglarstwo i narciarstwo.

8. Sposób spędzania wolnego czasu.

B. B.: W czasie wakacji preferuję aktywny wypoczynek – wędrowki górskie, pływanie. Jest to również czas na odrobienie zaległości w czytaniu beletrystyki. Staram się często jeździć rowerem, nawet do 30 km dziennie...

A. K.: Latem lubię żeglarstwo, windsurfing (ostatnio trochę zapomniany); w zimie – jazdę na nartach.

E. J.: Latem wiele czasu spędzam na Mazurach, żegluję z rodziną na łódce typu Spark. Zimą natomiast korzystam z dobrodziejstw białego szaleństwa, jeżdżę na narty z rodziną i przyjaciółmi. Poza tym, każdą wolną chwilę spędzam w malowniczej wsi pod Krynkami, gdzie rosną przepiękne stare lipy i żyją bardzo sympatyczni ludzie. ■

ANTYKONCEPCJA na trzy głosy

W kwietniowym numerze studenckiej części *Medyka Białostockiego*, w dziale „Pytanie do... Kogoś Rozsądnego” redakcja – w imieniu czytelników – napisała:

Zaniepokojenie redakcji *Młodego Medyka* budzą kolejne e-maile od naszych studentów. Otóż na półce Biblioteki Głównej Akademii Medycznej w Białymstoku dostępna jest pozycja, która nosi tytuł „Bioetyka początków życia” i której autorką jest Magdalena Szymańska, pracownik naszej uczelni, doktor nauk medycznych, ginekolog. Warto wiedzieć, że doktor Szymańska naucza deontologii lekarskiej na drugim roku wydziału lekarskiego, czyli przekazuje swoje zapatrywania, tym, których wiedza kliniczna jest jeszcze bardzo mała. Zawarte w książce zagadnienia i poglądy obowiązują studentów podczas zaliczenia tego przedmiotu.

Oto wybrane cytaty z książki dr Szymańskiej.

„W wyniku stosowania hormonalnej antykoncepcji, występuje zwiększone ryzyko zachorowalności na choroby przenoszone drogą płciową, takie jak: rzeżączka, chłamydia, kiła, HIV, HPV, opryszczka zewnętrznych narządów płciowych i inne.” (str. 30)

„(...) Stąd też wszelkie metody, sposoby, czy środki antykoncepcyjne sprzeciwiają się zarówno utrzymaniu zdrowia jak i życia istot ludzkich” (str.34)

„Ginekolog z racji swej tożsamości zawodowej nie powinien a nawet nie wolno mu świadomie uszkadzać ważnej życiowo funkcji, jaką jest rozrodczość” (str.34)

„Antykoncepcja z punktu widzenia prawa jest nadużyciem, ponieważ pozbawia człowieka, czy to okresowo, czy na stałe – ważnej funkcji przekazywania życia potomstwu”. (str. 35)

„(...) Stąd też antykoncepcja redukuje akt seksualny do poziomu satysfakcji instynktu. Antykoncepcja osłabia bardzo mocno motywację ku temu, aby zachować wierność małżeńską. Dziecko poczęte w ten sposób, kiedy zawiodą metody antykoncepcyjne – o ile uzyska tego świadomość – może odczuwać przypadkowość własnego istnienia i raczej jako pomyłkę rodziców, aniżeli owoc ich wzajemnej miłości” (str.36)

„W antykoncepcji płciowość ulega depersonalizacji i instrumentalizacji. Narusza integralny wymiar osoby, pozbawia człowieka właściwej mu podmiotowości działania, a czyni go przedmiotem manipulacji. Antykoncepcja jest jednym z symptomów kultury śmierci”. (str. 36)

„Antykoncepcja sprzeciwia się w sposób poważny czystości małżeńskiej, jest sprzeczna z dobrem przekazywania życia (aspekt rodzicielski małżeństwa) jest zaprzeczeniem wzajemnego daru małżonków (aspekt jednoczący małżeństwo). Rani ona prawdziwą miłość. Sprzyja postawie przyjemności i braku odpowiedzialności oraz swobody seksualnej, utrudniając, zwłaszcza młodzieży całościowe przeżywanie własnej płciowości, także opanowanie i wyrzeczenie”. (str. 36)

„Okres zaniechania współżycia wpływa na wzrost wzajemnej czułości, która przy stosowaniu antykoncepcji może zanikać”. (str. 54)

„Niedopuszczalna moralnie jest też masturbacja, podczas której mężczyzna oddaje nasienie poza aktem osobowego współżycia małżeńskiego”. (str. 64)

Wyżej opisane poglądy budzą coraz szersze dyskusje wśród studentów, w tym też studentów zagranicznych. Powstają anegdoty, dotyczące zaliczenia z deontologii, czyli przedmiotu, który z założenia powinien kształtować młodego lekarza, a nie być przedmiotem kpin. Nikt ze studentów nie miałby najmniejszych problemów z akceptacją poglądów, prezentowanych przez dr Szymańską, gdyby były one jedynie jej prywatną sprawą. Publikacja tych poglądów w książce z pięknym logo AMB obnaża je już z prywatności. W związku z tym, redakcja *Młodego Medyka* pyta:

Czy przytoczone wyżej cytaty są zgodne z obecną wiedzą medyczną? Czy książka dr Szymańskiej może być podstawą jakiegokolwiek zaliczenia i czy wypada, aby popularyzowała ją państwowa uczelnia, finansowana przez obywateli różnych wyznań, kształcąca nowoczesną kadrę medyczną i naukową?

Redakcja

I nic. Cisza. W maju studenci ponowili prośbę o odpowiedź. Napisali:

– Niestety nie doczekaliśmy się odpowiedzi ze strony naukowców AMB na list otwarty, który wystosowała nasza redakcja w tym dziale, na łamach kwietniowego numeru. Pytaliśmy, cytując co smakowitsze fragmenty zalecanego nam podręcznika do deontologii, autorstwa dr Szymańskiej, czy książka ta może być podstawą jakiegokolwiek zaliczenia i czy wypada, aby popularyzowała ją państwowa uczelnia, finansowana przez obywateli różnych wyznań, kształcąca nowoczesną kadrę medyczną i naukową?

My nie boimy się zadawać trudnych pytań, szkoda więc, że starsi od nas boją się na te pytania odpowiadać!!!

Apel redaktorów „Młodego Medyka” spotkał się wreszcie z odzewem. Z uwagi na to, że część studencka pojawi się na naszych łamach dopiero w październiku, postanowiliśmy teraz przedstawić stanowisko trzech naukowców, aby władze uczelni miały czas do przemyśleń.



Powołuję się na autorytety



dr **Magdalena Szymańska**
Studium Filozofii i Psychologii
Człowieka AMB

Pisząc „Szanowna Redakcjo”, waham się, gdyż zwykłam wymieniać poglądy z konkretnymi osobami; czyżby brak podpisu konkretnej osoby oznaczał brak odwagi lub też zadziwiająco zgodne zbiorowe przemyślenia?

Podobnie jak w przypadku wielu innych publikacji, zanim moja książka „Bioetyka początków życia” z pięknym logo AMB trafiła na półkę Biblioteki Głównej naszej uczelni, wielokrotnie była konsultowana i recenzowana. Kosztowało to dwa lata ciężkiej pracy. Od strony merytorycznej podręcznik ten naukowo konsultował prof. Bogdan Chazan – ginekolog-endokrynolog a wówczas Krajowy Konsultant ds. położnictwa i ginekologii; zrecenzował zaś pozytywnie prof. Michał Troszyński, również położnik ginekolog, którego recenzja jest zamieszczona w książce. Chcę także podkreślić, że z wykształcenia jestem zarówno ginekologiem, jak również posiadam specjalizację w dziedzinie etyki. W przedmiocie deontologii lekarskiej zdobyłam na Uniwersytecie Warszawskim akredytację, uprawniającą do działalności w komisjach bioetycznych i sądach lekarskich oraz do edukacji w zakresie etyki medycznej.

Dlatego uważam, że wiedza zawarta w tej książce, to nie tylko moje osobiste zapatrywania – co sugeruje Redakcja „Młodego Medyka” – a tym bardziej tylko moja prywatna sprawa.

Etyka lekarska, która swoimi korzeniami sięga czasów Hipokratesa (468 lat p.n.Chr.) jak dotąd niezmiennie uczy respektu, a nawet zgodnie z Konwencją Genewską – najwyższego respektu dla życia ludzkiego od momentu poczęcia

do naturalnej śmierci. Wszyscy lekarze, a także adepci sztuki lekarskiej, rozpoczynający zgłębianie wiedzy medycznej, są nie tylko zaproszeni, ale wręcz zobowiązani, bez względu na wyznanie czy światopogląd, do utożsamiania się z kanonami etyki lekarskiej po prostu dlatego, aby być wiernymi zasadzie „*primum non nocere*”. Bycie lekarzem z istoty, nie zaś tylko z nazwy, wymaga opowiedzenia się za życiem od momentu poczęcia do naturalnej śmierci – zgodnie z Przysięgą Hipokratesa, Kodeksem Etyki Lekarskiej, z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka ONZ oraz innymi aktami prawnymi i etycznymi.

Zamieszczone w artykule, **wyrwane z kontekstu** cytaty dotyczące antykoncepcji hormonalnej, pomijają szczególnie nader istotny, a mianowicie to, że wśród złożonych mechanizmów działania pigułki hormonalnej, jest także **aborcyjne** działanie tego środka. Wystarczy wziąć do ręki „Farmakologię” czy „Ginekologię”, a nawet ulotkę o środkach antykoncepcyjnych, aby przeczytać tam o antynidacyjnym czyli przeciwnieżdzeniowym mechanizmie działania tych środków, powodujących cykliczne zmiany w endometrium, blokujących jego proliferację i tym samym zagnieżdzenie zarodka (cyt. za Słomko Z. „Ginekologia” s. 445 i następane).

Czy zatem zarzuty Redakcji „Młodego Medyka” są stawiane wszystkim cytowanym autorytetom, na których ją się tylko powołuję?

Być może zmiany ostatnio wprowadzone w programie studiów na wydziale lekarskim i przeniesienie deontologii lekarskiej z roku II na rok VI, uspokoją niepokoje i ułatwią zrozumienie tych trudnych problemów przez „młodych medyków”, ponieważ, kończąc studia, będą oni dysponowali już wystarczającą wiedzą medyczną. Osobiście uważam jednak, że wiedza z zakresu deontologii powinna być przekazywana również studentom wcześniejszych lat studiów, aby kształtować ich wrażliwość etyczną, tożsamość zawodową i autonomię lekarską, umożliwiającą środowisku lekarskiemu nie tylko godne wypełnianie swojej powinności, ale także zachowywanie prawdziwego dobra każdego pacjenta bez wyjątku, jak również współtworzenia zasad zawartych w kodeksie etycznym, obiektywizując je w świetle prawa naturalnego.

Jednocześnie zachęcałabym młodych adeptów sztuki lekarskiej do wnikliwego i cierpliwego studiowania deontolo-

gii lekarskiej, która jest nauką interdyscyplinarną i uniwersalną w całym świecie medycznym, a nie podważania kanonów etyki lekarskiej.

Pośredni promotorzy aborcji



Prof. zw. dr hab.
Marian Szamatowicz
Klinika Ginekologii AMB

Na pytania, zadane przez Redakcję *Młodego Medyka* w artykule „Pytanie do... Kogoś Rozsądnego”, czy książka dr Szymańskiej może być podstawą jakiegokolwiek zaliczenia i czy wypada, aby popularyzowała ją państwowa uczelnia, finansowana przez obywateli różnych wyznań, kształcąca nowoczesną kadrę medyczną i naukową, należy zdecydowanie i jednoznacznie odpowiedzieć NIE.

Podzielam opinię, że dr M. Szymańska, znana ze swoich konserwatywnych ultrakatolickich poglądów, może mieć prywatne zapatrywanie na problemy bioetyki początków życia. Natomiast uważam za niedopuszczalne próby wymuszania akceptacji tych poglądów poprzez formę zaliczania przedmiotu. W tej sprawie doradzam studentom zwrócenie się do władz dziekańskich w uczelni.

Polemizowanie z treścią poszczególnych stwierdzeń zawartych w książce dr M. Szymańskiej „Bioetyka początków życia” nie wchodzi w rachubę, wiele z nich bowiem ociera się o granicę absurdu lub świadomego przekłamania.

W tym miejscu zatem chcę poczynić kilka uwag, dotyczących antykoncepcji w ogóle i antykoncepcji hormonalnej w szczególności. Zacznę od przypomnienia faktu istnienia Deklaracji Praw Człowieka, a w niej praw reprodukcyjnych. Polska jest

sygnatariuszem tego dokumentu, a zawartych w nim artykułów nie można przemilczeć ani potraktować w sposób wybiórczy. Jeden z nich mówi:

Fundamentalne prawo wszystkich par i jednostek do wolnego decydowania czy, ile, kiedy i w jakich odstępach czasu chcą mieć dzieci – i dalej – konieczność pełnej, rzetelnej i fachowej informacji o wszystkim, co dotyczy seksualności i reprodukcji.

Z treści tego zapisu jednoznacznie wynika, że kobieta ma prawo decydować czy w ogóle chce mieć dzieci, ile, w jakich odstępach czasu, a w praktyce sprowadza się to do stosowania ANTYKONCEPCJI.

Do dyspozycji kobiety pozostają różne sposoby zapobiegania ciąży. Wśród nich należy wymienić metody naturalne, barierowe (głównie prezerwatywy), globulki zawierające środki plemnikobójcze, wkładki domaciczne, hormonalną antykoncepcję (różny skład hormonów, różne drogi podania) oraz antykoncepcję doraźną. W Polsce ze względów prawnych nie praktykuje się podwiązywania jajowodów u kobiet i nasieniowodów u mężczyzn (dominujące metody w USA).

W ocenie metod antykoncepcji podstawowe znaczenie ma ich skuteczność. Bo jeżeli kobieta decyduje się na zastosowanie jakiegokolwiek z nich to oznacza, że nie chce być w ciąży i jeśli ciąża zaistnieje, to będzie to ciąża NIEPOŻĄDANA. Los ciąż niechcianych jest dwojaki: albo ciąża zostanie przez kobietę zaakceptowana (z mniejszym czy większym entuzjazmem), albo przerwana. Nie ma trzeciego wyjścia. Statystyki WHO w tym przedmiocie są druzgocące. Każdego dnia na świecie ma miejsce około 1 mln poczęć, z tego połowa to ciąż niechciane, z których 150 tys. kończy się przerwaniem. Pięćdziesiąt tysięcy ciąż przerywa się w warunkach nielegalnych i każdego dnia umiera z tego powodu około 500 kobiet!!!

Ludzie zdrowo myślący nie mają żadnych wątpliwości, że jedynym sposobem na ograniczenie zjawiska aborcji jest skuteczna antykoncepcja. Wszyscy, którzy kwestionują stosowanie metod zapobiegania ciąży albo ci, którzy promują metody nieskuteczne, jak np. metody naturalne, są pośrednimi promotorami aborcji. Według Światowej Federacji Położników i Ginekologów (FIGO) średni wskaźnik Pearl'a (liczba ciąż na 100 par stosujących daną metodę w ciągu roku) dla metod natural-

nych wynosi ok.25, co przekłada się na liczbę 25 ciąż niechcianych.

Jaki może być ich los wskazałem wcześniej. Istnieje ponadto rozpowszechnione niezrozumienie sensu metod naturalnych, polegających na okresowej abstinencji seksualnej w okresie koncepcyjnym rozpoznawanym różnymi sposobami. W ślad za tym niezrozumieniem idzie zaliczanie stosunku przerywanego do metod naturalnych. Biologia mówi, że kobieta w okresie koncepcyjnym ma podwyższone libido i stawianie zakazów współżycia seksualnego nie zdaje egzaminu

U młodych kobiet, przed rozrodem, antykoncepcja musi spełniać, poza skutecznością, wymóg ODWRACALNOŚCI.

Te dwa ważne elementy oceny metod antykoncepcyjnych, skuteczność i odwracalność sprawiają, że hormonalna antykoncepcja traktowana jest pierwszoplanowo. Kwestionowanie odwracalności antykoncepcji hormonalnej, najczęściej nosi znamiona niczym nie uzasadnionego straszaka (m.in. patrz: Cochrane Database System. Rev. 2006, JAN. 25/1).

Prawdą jest, że dyskutuje się o problemie bezpieczeństwa stosowania hormonalnej antykoncepcji, w odniesieniu – głównie – do układu sercowo-naczyniowego.

Ograniczone ramy niniejszej odpowiedzi uniemożliwiają szersze omówienie tych zagadnień. Natomiast chciałbym wspomnieć, że hormonalna antykoncepcja posiada wiele innych korzystnych efektów, wśród, których wymienię takie jak: najskuteczniejsze ograniczenie zachorowalności na raka jajników i endometrium, rzadsze występowanie torbieli jajników i mięśniaków macicy oraz endometriozy, leczenie zaburzeń miesiączkowania itp. Wszystko to sprawia, że hormonalna antykoncepcja powinna być proponowana jako metoda z wyboru, oczywiście z uwzględnieniem ewentualnych przeciwwskazań (np. niektóre procesy nowotworowe, nadciśnienie tętnicze, otyłość, unieruchomienie).

W odniesieniu do antykoncepcji wskazuję na dwie zasadnicze postawy lekarzy:

- właściwą, gdy lekarz oferuje sposoby zapobiegania ciąży zgodnie z wiedzą medyczną, przy poszanowaniu światopoglądu pacjentki,
- naganną, gdy lekarz, kierując się własnymi przekonaniem światopo-

glądowymi, oferuje metody niespełniające wymogów medycznych.

Prawo do poglądów i wyborów



Prof. **Sławomir Wolczyński**
Klinika Rozrodczości
i Endokrynologii AMB

Żyjemy w społeczeństwie liberalnym, w którym każdy ma prawo wygłaszania swoich opinii. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby ukazała się następna pozycja z deontologii lekarskiej, reprezentująca odmienne poglądy od tych, które przedstawia dr M. Szymańska. Oczywiście najłatwiej jest głosić takie, które aktualnie obowiązują.

Według mnie tabletki antykoncepcyjna jest czynnikiem, który zrewolucjonizował życie kobiet i będzie na rynku, niezależnie od tego czy się to komuś podoba, czy nie. Jest to dorobek cywilizacyjny, a każdy dorobek ma swoje dobre i złe strony. Jeśli ktoś nie chce, niech jej nie przyjmuje. Statystyki mówią, że od 6 do 12 procent pacjentek w ogóle nie może stosować antykoncepcji hormonalnej.

Prawdą jest, że tabletki antykoncepcyjna może być przyczyną zakrzepicy u pacjentek, które mają defekty w układzie krzepnięcia. Prawdopodobnie jej zażywanie zwiększa też raka piersi, zmniejsza libido... ale przecież jedzenie pomidorów też może mieć negatywne konsekwencje w postaci alergii pokarmowej. Nigdy nie da się wszystkiego przewidzieć.

Ja, gdy zachodzi taka potrzeba, przepisuję swoim pacjentkom tabletki hormonalne. Uważam, że każda kobieta musi mieć prawo wyboru, czy zająć w ciążę, czy zrobić wszystko, aby ciąży nie było.

Pielęgniarka w dziecięcych malunkach

Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy.
Albert Einstein

Od wielu lat Zakład Pielęgniarstwa Ogólnego Akademii Medycznej w Białymstoku organizuje konkursy literackie i plastyczne związane z tematyką pielęgniarską. Dzieci już rysowały, malowały, rzeźbiły, fotografowały i pisały na temat „Pielęgniarka przyjaciel człowieka”, „Pielęgniarka przyszłości”, „Moje spotkanie z pielęgniarką” oraz „Chcę być zdrowy”. Prowadzone są też w przedszkolach i szkołach rozmowy z dziećmi na temat zawodu pielęgniarki. Pracownicy zakładu organizują spotkania z członkami szkolnych kół zainteresowań, uczestniczą w lekcjach biologii i wychowania w rodzinie. Działania te mają na celu, z jednej strony, rozpropagowanie zawodu pielęgniarki, z drugiej zainicjowanie prozdrowotnego myślenia i prozdrowotnych zachowań u dzieci.

Prace nadsyłane przez dzieci były nagrywane na płyty CD i sprzedawane, a dochód z tych „cegiełek” przekazywany był na Towarzystwo Chorych Hospicjum w Białymstoku lub na organizację obozu rehabilitacyjnego dla dzieci z mózgowym porażeniem dziecięcym, padaczką i zespołem Downa – podopiecznych Kliniki Neurologii i Rehabilitacji Dziecięcej AMB.

W konkursach brały udział dzieci z całej Polski, w wieku od 2 do 16 lat. Rokrocznie nadsyłano setki prac wykonanych różną techniką. Wszystkie zawierały kawałek serca autorów, pokazując ich bogatą wyobraźnię i wrażliwość plastyczną. Prace potwierdziły, że każde dziecko w sposób naturalny jest twórcą.

Organizując od kilku lat konkursy dla dzieci, przekonaliśmy się, że ich

prace mają nieocenioną wartość. Mali autorzy wyrażają w nich swoje marzenia, radość, cierpienie, lęki albo pragnienia. Wszystko, co ma dla nich istotne znaczenie, można odnaleźć na zamalowanej lub zapisanej kartce.

Analizując rysunek dziecka, można wyczytać jego zdolność do wypełnienia, zagospodarowywania przestrzeni arkusza, ocenić panowanie nad kreską, dojrzałość dziecka i jego intelektualne możliwości. Dziecięce rysunki mówią jednak jeszcze więcej. Mogą być przy-



Rys. Karbowska Zuzanna.

datne w ocenie emocjonalnej dziecka. Dziecko nieśmiałe, niepewne swoich możliwości stawia cienkie, ledwo zaznaczone kreski, z licznymi przerwami. Dziecko o cechach egocentrycznych posługuje się kreską grubą, precyzyjną, wyraźną i ciągłą.

Dziecięcy rysunek, jego kolorystyka, są także odzwierciedleniem sposobu myślenia dziecka i jego stosunku do otoczenia. Czasami możemy odnieść wrażenie, że barwy rysunku są przypadkowe, ponieważ nie mają nic wspólnego z tym, co widzimy wokół nas. Dziecko może posługiwać się np. ulubionymi kolorami i namalować niebieską buzię i zielone włosy. Przedmioty i postaci, których nie lubi, może rysować w



Rys. Krasnopolska Sabina.

kolorach ciemnych, smutnych, mało wyraźnych lub bardzo intensywnych, pokrywających całą kartkę.

W miarę rozwoju dzieci, zmieniają się także ich rysunki. Lowenfeld i Brittain w książce pt. „Twórczość a rozwój umysłowy dziecka”, wyróżniają następujące fazy rozwojowe w twórczości plastycznej dziecka:

- **Początki autoekspresji** (2-4 rok życia) – stadium bazgroł bezładnych (pierwsze znaki przypadkowo stawiane przez dziecko), kontrolowanych (powtarzanie pewnych linii, rysowanie energiczne, stawianie linii pionowych, poziomych, kolistych) i nazywanych (dziecko zaczyna nazywać to, co narysowało).

- **Pierwsze próby przedstawieniowe** – stadium przedschematyczne (4-7 rok życia) – tworzenie świadomych kształtów, które pozostają w związku z otaczającym je światem. Pozwala to odczytać, co jest ważne dla dziecka i jaki jest jego stosunek do otoczenia. Zwykle pierwszym symbolem, jaki tworzy dziecko w tym okresie, jest człowiek – „głównóg”. Dzieci często i chętnie rysują także zwierzęta i ptaki. Wykorzystują bogate, nasycone plamy barwne.

- **Opanowanie kształtu** – stadium schematyczne (7-9 rok życia) – wykorzystywanie w twórczości wyolbrzymiania ważnych elementów, zmniejszania lub pominięcia części nieważnych lub tych, których nie rozumieją oraz zmiana symboliki. W pracach dziecka zaczyna pojawiać się martwa natura, kompozycje fantastyczne →

nawiązujące do życia w kosmosie, w podmorskim świecie oraz elementy o podłożu historycznym.

- *Początki realizmu – okres grup rówieśniczych (9-12 rok życia)* – przedstawianie cech płci, np.: dziewczęta rysowane są w sukience, chłopcy w spodniach. Mali artyści odkrywają naturalne piękno. Odróżniają błękit nieba od błękitu jeziora czy zielen drzewa od zieleni trawy. Bawią się barwami doskonale, wyuczując ich różnice i podobieństwa. W tym stadium w rysunkach dostrzegamy różnorodne zdobienia.
- *Wiek rozumowania – stadium pseudonaturalistyczne (12-14 rok życia)* – wykazywanie zainteresowania rysunkiem postaci ludzkiej. Dzieci zmieniają barwę w zależności od obecności światła i cienia. Uwzględniają zmiany w odległości, dynamikę postaci. Posiadają wyraźniejszą świadomość szczegółów, dążenie do uwzględniania ubrania, stylu uczesania, rysów twarzy i głębi. Odzwierciedlają w tych pracach swoją osobowość. Zdają sobie sprawę z tego, że przestrzeń jest trójwymiarowa.



Rys. Witkowski Tomasz.

- *Okres decyzji – sztuka w okresie dojrzewania (14-17 rok życia)* – pojawienie się zamierzonego uczenia się rysowania, malowania. Dzieci używają kształtów i proporcji w sposób realistyczny. Podejmują świadome próby deformacji i interpretacji. W pracach plastycznych widoczny jest powrót do kompozycji wielowarstwowych i wieloelementowych, o kolorach lokalnych i abstrakcyjnych.

Twórczość plastyczna dzieci jest przedmiotem zainteresowania wielu badaczy. Dziecko tworzy dla uzewnętrznienia swoich uczuć, w celu wyrażenia radości, zachwytu, smutku, niechęci, lęku i rozpacz. Patrząc na dziećce dzieła, oceniamy je, mimo woli, wedle dorosłych kryteriów piękna: „ładne” lub „brzydkie”. Każde dziecko ma jednak prawo do swobodnych wypowiedzi w swojej sztuce. Każde jego dzieło jest dla niego jednakowo ważne. Często pomaga mu w zrozumieniu innych i samego siebie. Każde jest wynikiem twórczej pasji i szczerego uczucia.

Rysowanie jako akt twórczy jest ważne z kilku powodów. Dziecku umożliwia ono wyrażenie w formie graficznej swoich odczuć, swojego widzenia świata, zaś dorosłemu dziećce rysunki pozwalają obserwować rozwój dziecka i oceniać jego stosunek do rzeczywistości.

Prowadzona przez wiele lat analiza, będących w naszym posiadaniu, rysunków wykonanych przez dzieci, pozwoliła je sklasyfikować tematycznie według kategorii:

- przejawy aktywności zawodowej pielęgniarki w oczach dzieci,
- postrzeganie roli społeczno-zawodowej pielęgniarki,
- pielęgniarka przyszłości.

Pielęgniarka, w większości prac, pozostaje centralną postacią rysunków. W obrazach dominują ciepłe i żywe kolory. Dzieci ze szczegółami prezentują czynności i zadania wykonywane w praktyce przez pielęgniarki i, co jest bardzo ciekawe, zawsze przedstawiają pielęgniarkę w czepku.

Szczegółowa analiza prac dzieci wyraźnie wskazuje, że kochają one pielęgniarki i traktują je jako drugie mamy, osoby godne zaufania. Świadczą o tym, między innymi, uwidocznione w pracach uśmiechnięte, pełne dobroci i czułości twarze pielęgniarek, dzieci w ich uścisku, pochylone postacie siostr nad łóżkiem dziecka, ręce pielęgniarek delikatnie dotykające główki dzieci... Te rysunki są spokojne w kolorycie lub bardzo kolorowe, wesołe. Wiele prac z tej grupy miało jako motyw przewodni serce, symbol miłości, bezinteresowności, ofiary. Symbol ukazujący znaczenie miłości, której nie można niczym wytłumaczyć. Miłości, skłaniającej do niesienia pomocy, czyli takiej, jaką dzieci otrzymują od pielęgniarki.

Były jednak i prace zawierające oznaki niepokoju, sugerujące, że nie

wszystkie dzieci miały pozytywne doznania w szpitalach. Przemawiają za tym postacie pielęgniarek z wielkimi strzykawkami, postacie grożące dzieciom palcem, pielęgniarki wampiry, ze złością wymalowaną w oczach i na twarzy, ze złośliwym uśmiechem.... Te rysunki tworzone były w barwach ciemnych, smutnych, mało wyraźnych.



Rys. Dzierżanowska Anna, Małyżko Justyna.

Dzieci przedstawiały również, jak widzą pracę pielęgniarek w przyszłości. Mimo wizji pielęgniarki robota, większość dzieci w swych pracach wykazała, że żadne urządzenie nie zdoła zastąpić troskliwości oraz współczucia pielęgniarki, okazywanego przez nią drugiemu człowiekowi.

Warto pamiętać, że dzieci to najbardziej obserwujący pracy pielęgniarek, pacjenci wymagający wyjątkowo starannej i czułej opieki, ale jednocześnie najwzdzięczniejsi. Dokładna analiza wypowiedzi dzieci i ich prac może być przydatna w lepszym zrozumieniu zachowania małych podopiecznych w szpitalu.

Elżbieta Krajewska-Kulak

(Autorka jest prof., dziekanem Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia AMB oraz kierownikiem Zakładu Pielęgniarstwa Ogólnego AMB).

Marek Szczepański

Autor jest dr. hab., prodziekanem Wydziału Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia AMB, kierownikiem Kliniki Neonatologii AMB).



Lekarz i przedstawiciel na jednym wózku...



Marek
Hermanowicz

Na początku czerwca bieżącego roku „Newsweek Polska” oraz telewizja TVN ujawniły metody marketingowe koncernów farmaceutycznych Schering i Roche, polegające m.in. na organizowaniu lekarzom ekskluzywnych, zakrapianych alkoholem wyjazdów szkoleniowych. Miały być one nagrodą za wypisywanie na receptach środków antykoncepcyjnych jednej z firm.

Zachowanie takie, zarówno po stronie przedstawicieli handlowych jak i lekarzy, którzy udali się na taki wyjazd, jest niewątpliwie naganne i sprzeciwia się zasadom etyki zawodowej. Zgodnie z art. 51a Kodeksu Etyki Lekarskiej (KEL), lekarz nie powinien przyjmować korzyści od przedstawicieli przemysłu medycznego, jeżeli może to ograniczyć obiektywizm jego opinii lub podważać zaufanie do zawodu lekarza.

W świetle zaś obowiązującego w Polsce prawa, takie zachowanie lekarzy jest występkiem, za który grozi jedynie kara grzywny. Nie jest to więc czyn o dużym ciężarze gatunkowym.

Na mocy art. 128 ust. 1 i 2 ustawy z dnia 6.09.2001 r. Prawo farmaceutyczne (Dz. U. z 2001 r., Nr 126, poz. 1381 ze zm.):

kto w ramach reklamy lub w celu promocji sprzedaży produktu leczniczego daje lub obiecuje osobom uprawnionym do wystawiania recept, osobom prowadzącym obrót produktami leczniczymi korzyści materialne, przekraczające znikomą wartość materialną, w szczególności prezenty, nagrody, wycieczki, a także organizuje lub finansuje tym osobom spotkania promocyjne produktów leczniczych, podczas których podejmuje w stosunku do zaproszonych działania przekraczające główny cel spotkania, podlega grzywnie.

Tej samej karze podlega osoba, która przyjmuje wyżej wskazane korzyści materialne, a zatem lekarz, jako osoba uprawniona do wystawiania recept. I nie ma znaczenia czy lekarz wypisywał pacjentom leki promowane w niedozwolony sposób, czy reklama dotyczyła leków na receptę, czy dostępnych bez recepty, wreszcie czy leki były refundowane, czy w stu procentach płatne.

Należy zwrócić uwagę, że ustawodawca w tym przepisie posługuje się stwierdzeniem „korzyści materialnej”, które nie jest, w mojej opinii, tożsame z pojęciem „korzyści majątkowej”, zdefiniowanym w art. 115 § 4 KK. Gdyby w art. 128 Prawa farmaceutycznego użyto znamienia „korzyść majątkowa”, to oznaczałoby to także korzyść „dla kogo innego” np.

dla członka rodziny. Jeśli zatem firma farmaceutyczna, w dowód wdzięczności lekarzowi, funduje wycieczkę jego żonie (która oczywiście nie jest lekarzem ani właścicielem bądź pracownikiem apteki, bo wówczas sama mogłaby odpowiadać z art. 128 Pr. farm.), to nie ma przestępstwa.

Katalog korzyści materialnych, wymieniony w tym przepisie, ma oczywiście charakter przykładowy, przyjmowana zaś przez lekarza korzyść, by stanowić podstawę odpowiedzialności, musi mieć wartość materialną wyższą niż znikomą. Jest to pojęcie nieostre, mogące nastęrczać problemy interpretacyjne. W mojej opinii np. przyjęcie gadżetów reklamowych, zawierających logo firmy, nawet o wartości kilkuset złotych, nie będzie korzyścią przewyższającą znikomą wartość materialną. Także udział w kilkudniowym sympozjum sponsorowanym przez firmę farmaceutyczną, jeśli oczywiście ma ono cel czysto szkoleniowy, nie powinno być traktowane jako wycieczka.

Drugą formą popełniania przestępstwa z art. 128 Pr. farm. jest udział lekarza w spotkaniach promocyjnych produktów leczniczych, podczas których podejmuje się w stosunku do zaproszonych działania przekraczające główny cel spotkania. Do takich działań zaliczyć można przykładowo zapewnienie uczestnikom dużej ilości alkoholu. Uważam jednak, że posiłek będący częścią całonocnego szkolenia nie musi z definicji przekraczać celu spotkania, o ile oczywiście nie jest on nadzwyczaj wystawny i drogi.

Z całą stanowczością należy jednak stwierdzić, że przestępstwo z art. 128 Pr. farm., mimo tego, że jest podobne, to nie jest tożsame z przestępstwem łapownictwa z art. 228 KK, które jest czynem o znacznie większym ładunku szkodliwości społecznej.

Umiejscowienie tego występkę w ustawie Prawo farmaceutyczne oraz użycie w art. 128 zdefiniowanego pojęcia produktu leczniczego (art. 2 pkt 32 Pr. farm.) świadczy o tym, że występki ten może zostać popełniony tylko w związku z promocją produktów leczniczych w rozumieniu ustawy.

Przestępstwo to nie odnosi się do czynów popełnionych w związku z reklamą wyrobów medycznych, których pojęcie zostało zdefiniowane w art. 3 pkt 8 ustawy z dnia 27.07.2001 r. o wyrobach medycznych (Dz. U. z 2001 r., Nr 126, poz. 1380 ze zm.). Akt ten nie zawiera analogicznego przepisu co ustawa Prawo farmaceutyczne, a zatem karalne formy promocji leków mogą być stosowane do promocji wyrobów medycznych, nie rodząc przy tym odpowiedzialności karnej ani po stronie przedstawiciela handlowego, ani lekarza.

(Autor jest aplikantem adwokackim).



BRONCA

PODLASKIE

SYMPOZJUM

PULMONOLOGICZNE

Wigry
19-21 maja 2006 r.

Już po raz piąty, w dniach 19-21 maja odbyło się Podlaskie Sympozjum Pulmonologiczne „BRONCA”, zorganizowane przez Klinikę Chorób Płuc i Gruźlicy AMB, kierowaną przez prof. E. Chyczewską. Miejscem obrad był zabytkowy, pokamedulski zespół klasztorny w Wigrach, obecnie siedziba Domu Pracy Twórczej.



Fot. Prof. dr hab. med. Mieczysław Choraży z Centrum Onkologii Instytutu im. M. Skłodowskiej-Curie w Gliwicach.

Wzorem lat ubiegłych tematykę obrad podzielono na pięć sesji. Tak jak poprzednio i tym razem udało się zaprosić same znakomitości w dziedzinie pulmonologii, biologii molekularnej i patomorfologii.

Sesji poświęconej gruźlicy płuc przewodniczyła prof. Z. Zwolska z In-



Fot. Pokamedulski zespół klasztorny w Wigrach.

stytutu Gruźlicy i Chorób Płuc w Warszawie, której wykład pt.: „Robert Koch – twórca bakteriologii chorób zakaźnych – w 100-lecie Nagrody Nobla” przybliżył sylwetkę uczonego. Równie interesujące były sesje poświęcone chorobom śródmiąższowym, przewlekłej obturacyjnej chorobie płuc i astmie oskrzelowej.

Nowoczesne metody diagnostyki i leczenia powyższych chorób przedstawiły prof. E. Wiatr z IGiChP i prof. I. Grzelewska-Rzymowska z Łodzi, natomiast aspekty immunodiagnostyki przedstawiła dr hab. A. Stasiak-Barmuta z naszej uczelni. Sesji na miarę XXI wieku, dotyczącej realności przeszczepów płuc w Polsce, przewodniczył prof. J. Kozielski ze Śląskiej AM, prezes Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumonologicznego.

Kolejna sesja, której przewodniczyły prof. J. Słodkowska i prof. E. Chyczewska dotyczyła raka płuca, wczesnej diagnostyki i stanów przednowotworowych, o których mówił prof. L. Chyczewski.

Profesor M. Choraży z Centrum Onkologii Instytutu im. M. Curie-Skłodowskiej w Gliwicach wygłosił bardzo interesujący wykład na temat dogmatów i nowych odkryć w biologii molekularnej, niezwykle istotnych w nowoczesnej medycynie. Z kolei prof. J. Słodkowska z IGiChP w Warszawie przedstawiła najnowszy dział medycyny – telepatologię i jej wykorzystanie w dziedzinie pulmonologii.

Obradom towarzyszyła wystawa firm farmaceutycznych. Nie zabrakło również części artystycznej. Należy wspomnieć o pięknym koncercie Kapeli Klezmerskiej Teatru Sejneńskiego, któ-

ry odbył się w Białej Synagodze w Sejnach. Uczestnicy sympozjum mogli wspominać wielkiego rodaka – Jana Pawła II – który podczas pielgrzymki do Polski w 1999 roku odwiedził Wigry.



Fot. Rejs statkiem po jeziorze Wigry. Prof. dr hab. med. Z. Zwolska i prof. dr hab. med. Jerzy Kozielski, prezes Polskiego Towarzystwa Ftyzjopneumonologicznego.

Wielką atrakcją był rejs statkiem „Tryton” po jeziorze Wigry, połączony z degustacją papieskich kremówek. Niezapomniane wrażenia pozostawiła także wigierska biesiada przy ognisku.

Sympozjum „BRONCA”, pomimo regionalnego charakteru, cieszy się coraz większą popularnością w kraju i przyciąga coraz większe rzesze pulmonologów, internistów i lekarzy rodzinnych.

Elżbieta Chyczewska

(Autorka jest prof. – kierownikiem Kliniki Chorób Płuc i Gruźlicy AMB).

Maria Ossolińska

(Autorka jest dr.n.med. w Klinice Chorób Płuc i Gruźlicy AMB).

X Zjazd Naukowy Polskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej

Białystok 22-25 czerwca 2006 r.

Termin jubileuszowego X-go Zjazdu Naukowego Polskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej wypadł w dwudziestą rocznicę powstania Towarzystwa. Stało się to szczególnie okazją do podsumowania dotychczasowych jego dokonań, do dyskusji na temat osiągnięć medycyny nuklearnej w Polsce i na świecie. Głównymi organizatorami zjazdu byli prof. dr hab. Franciszek Rogowski oraz pracownicy Zakładu Medycyny Nuklearnej Akademii Medycznej w Białymstoku. Honorowy patronat nad zjazdem objął Minister Zdrowia, prof. dr hab. Zbigniew Religa.

W obradach wzięło udział ok. 300 osób z Polski i z zagranicy, reprezentujących różne dziedziny medycyny, tj.: medycynę nuklearną, neurologię, onkologię, endokrynologię, kardiologię, gastrologię, enterologię, pediatrię oraz radiologię i farmację.

Z Barcelony przyjechał prof. Ignasi Carrio – Prezydent Europejskiego Stowarzyszenia Medycyny Nuklearnej oraz dr Isabel Roca, wybitna specjalistka medycyny nuklearnej pediatricznej; z Hannoveru – prof. Wolfram H. Knapp, przewodniczący Niemieckiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej, z Kijowa – dr Siergiej Makeev, Przewodniczący Ukraińskiego Towarzystwa Medycyny Nuklearnej, z Rzymu – prof. Alberto Signore, z Paryża – prof. Serge Askienazy, z Insbruku – prof. Roland Haubner, z USA – prof. Michael R. Zalutsky, z Izraela – dr Amos Freud oraz liczni specjaliści medycyny nuklearnej z Białorusi i Ukrainy.

Program zjazdu był bardzo bogaty i reprezentował różnorodną tematykę. Przez trzy dni można było wysłuchać łącznie 10 wykładów plenarnych. W 10

sesjach odbyły się 54 prezentacje ustne i 72 prezentacje plakatowe z zakresu neurologii, kardiologii, endokrynologii, onkologii, fuzji obrazów tarczycy, pediatrii, hepatologii, nefrologii, radiofarmacji i ochrony radiologicznej oraz szeroko pojętej terapii radioizotopowej.

Przed oficjalnym otwarciem zjazdu odbyła się sesja przedkongresowa na temat „Modern Aspects of Lung Scinti-



graphy”. Wystąpili na niej prof. S. Askienazy oraz w zastępstwie prof. E. Dziuka – dr Jacek Pietrzykowski z Zakładu Medycyny Nuklearnej Instytutu Wojskowego w Warszawie.

Wykłady inauguracyjne zaprezentowali prof. I. Carrio, który mówił na temat przyszłości kardiologii nuklearnej oraz prof. M. R. Zalutsky, który podjął tematykę dotyczącą problemów zasto-

sowania terapeutycznego emiterów promieniowania alfa.

Dużym zainteresowaniem podczas zjazdu cieszyły się wykład i doniesienia na temat terapii radioizotopowej, a także warsztaty z zakresu szeroko pojętej pediatrii nuklearnej (nefrourologia, kości, onkologia), przeprowadzone przez dr Isabel Roce.

Prezentowane podczas zjazdu prace wzięły udział w dwóch konkursach. Pierwszy z nich ogłosiła już po raz kolejny firma GE Healthcare Bio-Sciences. Autorowi najciekawszej pracy, wykonanej przy użyciu produktu firmy, została przyznana nagroda w postaci pokrycia kosztów podróży i udziału w Europejskim Kongresie Medycyny Nuklearnej w Atenach (2006). Druga, podobna nagroda, dotyczyła najbardziej nowatorskiej i interesującej pracy, i została ufundowana przez firmę Siemens Medical Solutions. Prace zakwalifikowane do obu konkursów oceniane były przez Komitet Naukowy pod przewodnictwem prof. Juliana Linieckiego i prof. dr hab. Franciszka Rogowskiego, przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego. Nagrody dla zwycięzców zostały wręczone podczas ceremonii zamknięcia X Zjazdu PTMN, której dokonał prof. dr hab. Franciszek Rogowski.

Ważnym punktem programu było Walne Zebranie Członków PTMN, podczas którego wybierano nowe władze Towarzystwa. Nowym przewodniczącym został prof. dr hab. Leszek Królicki z AM w Warszawie.

Doszło także do oficjalnego podpisania, historycznie pierwszego, porozumienia o współpracy i wzajemnej pomocy towarzystw medycyny nuklearnej Polski i Niemiec.

Uzupełnieniem bogatej części oficjalnej i merytorycznej były wieczorne imprezy towarzyszące: piątkowy bankiet w restauracji Camelot oraz sobotnie ognisko w Kucharach.

Rogowski Franciszek
(Autor jest prof.
– kierownikiem Zakładu
Medycyny Nuklearnej AMB).

W Ministerstwie było miło

– *W Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego nie ma newsów, my pracujemy ciężko, systematycznie, krok po kroku. Tu nie może być rewolucji* – powiedział sekretarz stanu prof. Stefan Jurga na spotkaniu z dziennikarzami regionalnych mediów akademickich, które odbyło się w siedzibie Ministerstwa, 5 lipca b.r.

Minister przedstawił uczestnikom cele, jakie przyświecają misji, której się podjął.



Fot. Od lewej: Joanna Kulesza – rzecznik prasowy i dyrektor Departamentu Informacji i Promocji, prof. zw. dr hab. Krzysztof Jan Kurzydłowski – podsekretarz stanu, prof. zw. dr hab. Stefan Jurga – sekretarz stanu, Jacek Gierliński – doradca ministra, Paweł Mikusek – Departament Informacji i Promocji.

Za priorytetowe uznał działania na rzecz integracji ośrodków naukowych. Tłumaczył, że wobec pojawiającego się niżu demograficznego wiele uczelni może mieć problemy z utrzymaniem swojej pozycji. Obecna ustawa, która wprawdzie daje możliwość łączenia uczelni publicznych lub niepublicznych, nie stwarza możliwości mariaży między jednymi a drugimi. Uporządkowanie tej kwestii powinno ochronić istniejący potencjał naukowy.

Marnowaniu państwowych pieniędzy ma zapobiec też stworzenie tzw. ligi uczelni o charakterze badawczym. Według ministra część środków skierowanych na badania nie jest – jak to określił – właściwie wykorzystywana.

Minister wskazywał również na konieczność internacjonalizacji szkolnictwa wyższego.

– *Mamy obecnie bardzo niski wskaźnik mobilności, zwłaszcza tej związanej z przyjazdami do nas. Uczelnie polskie albo nie oferują możliwości kształcenia w*

języku angielskim, albo nie mają odpowiedniego zaplecza w postaci infrastruktury – mówił.

Zapowiedział stworzenie mechanizmów, które będą promowały działania uczelni na rzecz pozyskania studentów z innych krajów.

– *Będziemy także wspomagać otwieranie kierunków studiów odpowiadających potrzebom kraju i regionu* – kontynuował minister.

Wyjaśnił, że należy tak ukierunkować kształcenie, aby odsetek bezrobotnych był jak najmniejszy. Obecnie istnieją kierunki studiów, których ukończenie jest równoznaczne z wpisaniem się na listę urzędu pracy.

Minister poruszył także problem konieczności szybszego wdrażania koncepcji studiów kilkustopniowych, reformy kształcenia nauczycieli, wprowadzenia nowego modelu kariery akademickiej.

Pięknie również zabrzmiały słowa o zapewnieniu szerokiego i sprawiedliwego dostępu do kształcenia, zwłaszcza w kontekście zamierzeń zniesienia finansowania studiów niestacjonarnych.

– *Nie można Polski obserwować poprzez wielkie ośrodki, takie jak: warszawski, krakowski, poznański, łódzki. Wzmacniać należy uczelnie, które znajdują się poza wielkimi aglomeracjami* – mówił prof. S. Jurga.

A takie słowa zawsze koją duszę.

D.Ś.



Historia mego udziału w walce z rakiem cz. I

Kiedy ponad ćwierć wieku temu prezydent Richard Nixon wypowiedział wojnę rakowi, nie tak chyba wyobrażał sobie jej przebieg. Podczas gdy na polu walki leżą ciała tych, co nie doczekali jej końca, bohaterscy wojownicy wznoszą kielichy szampana w zwyczajnym toaście w westybulach luksusowych hoteli. Czynią to razem z przedstawicielami firm farmaceutycznych, które produkują „amunicję” na tę niekończącą się wojnę. Ponieważ zupełnie przypadkiem stałem się świadkiem, a nawet uczestnikiem tej surrealistycznej batalii, przyjąłem zaproszenie Redakcji Medyka do opisanie swych przeżyć z czasu mego pobytu w Ameryce.

Polskę opuściłem, w całym tego słowa znaczeniu, w roku 1971 i udałem się do Bostonu, gdzie miałem spędzić rok jako Visiting Professor w Szkole Medycznej Uniwersytetu Tufts'a. Po upływie roku, kiedy to zbliżał się termin mego powrotu do Polski, mój ówczesny szef zapytał mnie czy mógłbym zostać jeszcze jeden rok. Miałem dokończyć rozpoczęte i bardzo obiecujące badania. Po naradzie z małżonką, która w marcu 1972 roku przyjechała z naszą córką na parę miesięcy do Bostonu, napisałem do Dyrektora Centrum Kształcenia Podyplomowego Lekarzy, gdzie byłem zatrudniony jako kierownik Zakładu Biochemii, list, w którym przedłożyłem prośbę o wyrażenie zgody na →

przedłużenie pobytu za granicą. W dwa tygodnie po upływie terminu mojego powrotu do kraju dostałem list z Centrum zawiadamiający mnie, że „... obywatel został skreślony z listy pracowników z powodu niestawienia się do pracy w ustalonym terminie”. W ten sposób jeden list zmienił losy moje i mojej rodziny.

Przez pierwsze parę lat bardzo intensywnie pracowałem i opublikowałem szereg prac, dotyczących roli fibrynogenu w patogenezie chorób zakrzepowych i miażdżycy. W tym czasie współpracowałem z młodym lekarzem z Niemiec (ówczesnych Zachodnich), który interesował się krzepnięciem krwi w chorobach nowotworowych. Wkrótce opublikowaliśmy pracę, w której wykazaliśmy, że w raku podobnie jak w miażdżycy, poziom fibrynogenu jest znacznie podwyższony a fibrynoliza jednocześnie zahamowana. Po wyjeździe młodego Niemca praca nad rakiem się zakończyła. We mnie jednak zostało zasiane ziarno zainteresowania tym problemem. Zacząłem dużo czytać na temat leczenia nowotworów. W „Science” znalazłem pracę opisującą toksyczny wpływ ozonu na komórki raka płuc in vitro. Nie bardzo rozumiałem jaki może być mechanizm działania ozonu w tym konkretnym przypadku, dlatego kontynuowałem czytanie na temat reakcji redox w układach komórkowych. Minał szereg lat, gdy zobaczyłem ogłoszenie o konferencji, mającej się odbyć w Nowym Jorku, na temat leczenia raka ozonem. Był to rok 1983. W czasie owej konferencji poznałem lekarza, doktora Roberta Meyera, który od wielu lat skutecznie leczył chorych na raka ozonem. Przedstawił on swą metodę, w której pobiera się na heparynę około 300 ml krwi, przepuszcza przez nią mieszaninę tlenu z ozonem w proporcji 100:5 i ponownie wstrzykuje dożylnie temu samemu pacjentowi. Widząc moje zainteresowanie, dr Meyer zaprosił mnie do odwiedzenia jego kliniki na Florydzie. Tam dowiedziałem się szczegółów oraz tego w jaki sposób, od niemieckiego lekarza, który jako specjalny więzień wojenny został przywieziony do Ameryki tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej, nauczył się owej metody. Do Bostonu powróciłem z dwiema próbkami krwi – jedną przed a drugą po terapii ozonem. Zabrałem je w celu zbadania profilu lipoproteinowego, co wówczas rutynowo robiliśmy w Boston Cardiovascular Health Center. Okazało się, że po terapii nastąpił znaczny wzrost tzw. dobrego cholesterolu HDL. Niestety dalsza współpraca urwała się, gdyż agencji FDA zarekwirowali do-

ktorowi Meyerowi jego generator ozonu i zagrozili uwięzieniem. Wkrótce 84-letni Robert umarł na zawał serca.

W dalszym ciągu istnieje federalny zakaz medycznego stosowania ozonu. Jednak już w piętnastu stanach lokalne władze zniosły ten zakaz. Jeżeli w Internecie (np. Google) wywołamy hasło „ozone cancer therapy” to pojawia się ponad półtora miliona pozycji (Sic!).

Mechanizm terapii ozonem pozostawał dla mnie jednak enigmą przez wiele lat. Dopiero następny zbieg okoliczności naprowadził mnie na trop możliwego rozwiązania tej zagadki. Otóż w roku 1989 spotkałem przypadkiem węgierskiego



Fot. Dr. Lipiński wraz małżonką w trakcie przedstawiania wyników pracy nad oksydacyjnie zmodyfikowaną formą fibrynogenu w ludzkim osoczu na międzynarodowym zjeździe poświęconym problemom miażdżycy (Austria 2001).

naukowca, doktora Laszlo Egyud'a, który był swego czasu asystentem prof. Alberta Szent-Gyorgy'ego – odkrywcy witaminy C i Laureata Nagrody Nobla. Laszlo był zatrudniony przez prywatną firmę, której celem było wdrażanie do praktyki lekarskiej nowych idei w dziedzinie medycyny. Oczywiście łączyło się to z oczekiwaniami na duże zyski. Mój nowy węgierski kolega nie był zbyt zadowolony z komercyjnego nastawienia szefa firmy, która w dodatku nie miała nawet laboratorium badawczego. Tak się złożyło, że w tym czasie miałem własne laboratorium (H.S. Research Laboratory) i mogłem zaprosić Laszlo do siebie. On miał już wtedy kilka patentów na nowy lek oparty na bazie metylogliksalu (MG). Lek ten miał działać na zasadzie uczulania nowotworów na niszczące działanie żernych komórek układu odpornościowego (tzw. Natural Killer cells). Jak wiadomo MG reaguje z grupami sulfhydrylowymi, których zwiększoną ilość mają szybko dzielące się komórki (nowotworowe), tworząc z nimi

tioestry. Chcieliśmy udowodnić, że taki może być mechanizm przeciwrakowego działania MG i jego pochodnych. Laszlo już wtedy podejrzewał, że MG może wpływać na krzepnięcie krwi i od tego zaczęliśmy nasze doświadczenia.

W pierwszym etapie badań chcieliśmy zobaczyć, jaki mają wpływ na krzepnięcie krwi, in vitro, substancje z grupami -SH jak np. cysteina. Zgodnie z naszymi oczekiwaniami nie wykazaliśmy żadnego efektu. Któregoś dnia zabrakło nam tego prostego związku. Użyliśmy więc związku podobnego, tylko z dwoma sąsiednimi grupami -SH, znanego jako ditiotreitol (DTT). Ku naszemu zdumieniu inkubacja osocza z DTT w 37°C przez szereg godzin powodowała jego krzepnięcie. Ponieważ było to zupełnie nieoczekiwane i niewytłumaczalne zjawisko, jako kontroli użyliśmy surowicy, która też wytworzyła coś w rodzaju skrzepu! Nie był to oczywiście prawdziwy skrzep, bo w surowicy nie ma przecież fibrynogenu, ale żel był złożony głównie z albuminy i innych białek surowicy. W wyniku dalszych badań stwierdziliśmy, a właściwie potwierdziliśmy wcześniejsze, lecz mało znane wyniki innych badaczy, że wielosulfhydrylowe związki powodują wymianę dwusiarczkową z wewnątrzcząsteczkowych na międzycząsteczkowe mostki. W ten sposób zostają odsłonięte, ukryte we wnętrzu cząsteczki, np. albuminy, grupy hydrofobowe, które następnie reagują między sobą, dając olbrzymi, nierozpuszczalny polimer. Następnie dokonaliśmy najważniejszego doświadczenia, polegającego na tym, że inkubowaliśmy z albuminą surowicy świeżo wycięty guz ludzkiego raka płuc, przetransplantowany do „nagiej” myszy. Choć nie zaobserwowaliśmy tworzenia się żelu, to po elektroforetycznym rozdziale tak inkubowanej albuminy wyraźnie pojawiła się frakcja o bardzo wysokim ciężarze, która pozostawała w punkcie nałożenia. Co więcej, w obecności metylogliksalu polimeryzacja albuminy tak z DTT jak i z tkanką nowotworową została całkowicie zahamowana. Opisałiśmy to i następnie opublikowaliśmy w nowo powstałym piśmie naukowym Bioorganic and Medicinal Chemistry Letters (2:919-24,1991).

Dr hab. **Bogusław Lipiński**,
H.S. Research, P.O. Box 1815, Boston,
MA 02446, U.S.A.; Tel.: 617-527-1395;
e-mail: b.lipinski2006@rcn.com
(Autor pracował w Zakładzie
Chemii Fizjologicznej AMB
w drugiej połowie lat 60-tych).



Dobre maniery i wiedza

czyli ciąg dalszy wspomnień o prof. Wiktorze Hassmannie

Profesor Wiktor Hassmann, wywodzący się ze słynnego krakowskiego środowiska uniwersyteckiego, należał do najwybitniejszych polskich laryngologów drugiej połowy XX wieku. Był uczniem prof. Jana Miodońskiego, kierownika Kliniki Laryngologicznej UJ, jednego z luminarzy otolaryngologów polskich. Po aresztowaniu prof. Miodońskiego przez Niemców podczas *Sonderaktion Krakau* w listopadzie 1939 roku i wywiezieniu go do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, klinika została zlikwidowana. Kierowanie powstałym w jej miejscu oddziałem powierzono młodemu, niewiele ponad trzydziestoletniemu Wiktorowi Hassmannowi (Niemcy zezwalali polskim lekarzom na pracę w zawodzie i prowadzenie praktyk lekarskich, bali się bowiem wszelkich chorób rozwijających się w okupowanym kraju).

Już wkrótce po objęciu nowej funkcji Wiktor Hassmann zorganizował w swoim gabinecie punkt przerzutowy Armii Krajowej. Przynosił, zdobywane różnymi drogami, leki i opatrunki, po które w oznaczone dni i godziny zgłaszali się łącznicy z AK. Pewnego dnia przyszedł do ordynacji oficer niemiecki i bez ogródek powiedział, że Niemcy wiedzą, co się kryje pod szyldem praktyki. Ostrzegając i radził tego zaniechać. Punkt został spalony.

Gdy w 1952 roku Wiktor Hassmann przyjechał do Białegostoku, przyjmując złożoną mu przez prof. Tadeusza Kielanowskiego – pierwszego rektora Akademii Medycznej w Białymstoku – propozycję objęcia obowiązków organizatora i kierownika Kliniki Otolaryngologicznej, załamał ręce. Przed ponad pięćdziesięciu laty w naszym mieście – które nie miało żadnych tradycji akademickich – nie było ani odpowied-

niego lokalu, ani lekarzy, ani pielęgniarek, ani niezbędnego specjalistycznego sprzętu. Wywiązanie się z podjętego obowiązku wydawało się niemożliwe, a jednak przyjął wyzwanie. To były czasy polskich Kolumbów.

Uratowany z Sachsenhausen profesor Miodoński, ponownie zarządzający Kliniką Laryngologiczną UJ, wypożyczył młodszemu koledze mikroskop operacyjny Zeissa. Asystenci żartowali, że to posag Profesora. Dzięki doskonałej optyce, ruszyły operacje uszne. Mimo trudności, już 12 września 1952 roku, w skromnym lokalu przedwojennego budynku Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Sienkiewicza, otwarto – jako jedną z pierwszych w nowo powstającej Akademii – siedemnastołożkową klinikę. Tam też profesor Hassmann wykonał pierwsze w historii miasta duże operacje laryngologiczne u chorych na raka krtani. Dotychczas, takie operacje przeprowadzano w Warszawie. Przy tych ciężkich operacjach Profesorowi asystowała żona – Irena Hassmann.

Profesor Hassmann dał początek doskonałej białostockiej szkole laryngologicznej. Był jej niekwestionowanym twórcą. Wprowadził planowe szkolenia, diagnostykę i nowoczesne leczenie. Pacjenci byli zawsze dla Profesora najważniejsi. Klinika szybko zaczęła zdobywać wysokie noty, a po 22 latach działalności, w roku 1974 uznano ją za jedną z najlepszych w kraju. Na ogólnopolskim zjeździe otolaryngologów zorganizowanym w tym roku u nas, mówiono o naszej klinice *Ex oriente lux – Światło ze wschodu*. Czyż nie jest to określenie wystarczająco wymowne?

Profesor reprezentował zapomniany już dziś typ lekarza, odpowiadający dawnej zasadzie: *Medicus debet esse elegans, odorans et ambi dexter*. Wy-

czyszczone na glans buty, spodnie w kant lub sportowy ubiór korespondowały ze znakomitym wychowaniem i eleganckim sposobem bycia absolwenta słynnego gimnazjum O.O. Jezuitów w Chyrowie. Tego gimnazjum, które ukończyły m.in. takie tuzy polskiej inteligencji jak: Eugeniusz Kwiatkowski, twórca Gdyni, kardynał Adam Kozłowiecki, czy rzeźbiarz Antoni Wiwulski, autor pomnika Trzech Krzyży w Wilnie i pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie.

Dobre maniery Profesora sprzyjały rodzinnej atmosferze w klinice, atmosferze, w której hierarchia wieku, stażu, oraz punktualność były w pełni respektowane. Profesor uprzedzał porannym telefonem sekretarkę kliniki, że, na przykład, spóźni się, bo... idzie do fryzjera. Te fundamentalne zasady dobrego wychowania i kultury osobistej udzielały się pracownikom kliniki.

Profesor uważał, że asystentom trzeba w wielu sprawach dać wolną rękę, bo tylko wtedy będą mogli rozwijać swoje talenty i wykazywać inicjatywę. I nie mylił się. Popierał ich wyjazdy szkoleniowe. Na każdym zjeździe i w niemal każdym numerze „Otolaryngologii” były prezentowane prace z naszej kliniki. Nie ingerował w przychodzenie i wychodzenie asystentów z kliniki, w historii chorób, bo tym zajmowali się adiunkci i docenci, których darzył pełnym zaufaniem. Uwaga Profesora koncentrowała się przede wszystkim na jak najlepszym leczeniu chorych i postępkach w pracy naukowej. Miał zawsze mnóstwo pomysłów naukowych, które przekazywał kolegom do rozważania i ewentualnego podjęcia pracy w określonym temacie. Nie należał do tzw. *besserwisserów* – wszystkowiedzących profesorów. Lubił mawiać: *Kolego! zapytamy o zdanie koleżę, który w tym jest najlepszy*. Miał świetnego tzw. →

nosa lekarskiego, co niewątpliwie zawdzięczał gruntownemu wykształceniu, erudycji, niecodziennej inteligencji i pochodzeniu z lekarskiej rodziny. Rzadko się mylił w swoich diagnozach, a przede wszystkim nigdy nie odkładał operacji. Nieraz mi mówił: *Kolego! operacja w tym przypadku jest konieczna, odkładanie jej na jutro tylko pogorszy rokowanie.*

Profesor Hassmann nieustannie poszukiwał nowych metod operacji, które modyfikował, wykorzystując oczywiście swoje doświadczenia. Przed każdą operacją był skupiony. Na biurku, w skromnym gabinecie, leżały szkice poszczególnych etapów planowanych operacji. Operował we wszystkich dziedzinach laryngologii, wprowadzając zabiegi poprawiające słuch, a w przypadku raka krtani częściowe operacje, pozwalające na zachowanie fonacji, które dotychczas wykonywano tylko w Krakowie.

Przywiązywał wiele uwagi do ćwiczeń wykonywanych na kości skroniowej. W niedzielne przedpołudnia, w laboratorium, wykonywał rozmaite skomplikowane operacje na kościach. Przygotowywał różne nowe techniki operacyjne. Asystowałem Profesorowi i dzięki temu wiele się nauczyłem. W klinice było przyjęte, że każdy asystent przed samodzielną operacją uszu musiał wykonać kilka operacji na kościach, pod okiem starszego kolegi. Stanowiło to też doskonale ćwiczenie przygotowujące do pracy pod mikroskopem, który Profesor wprowadził do operacji usznych. Dlatego technika operacji uszu w naszej klinice została doprowadzona niemal do perfekcji, a powikłania pooperacyjne należały do rzadkości.

Uszkodzenie jakiegoś ważnego elementu anatomicznego podczas tych ćwiczeń, np. nerwu twarzowego, było tylko przestrogą i wskazówką, w jaki sposób trzeba pracować, aby tego uniknąć. Ale gdyby asystent, niedostatecznie wyćwiczony, uszkodził *facialis* u chorego, byłaby to prawdziwa tragedia. Opowiadał mi Profesor, że w Krakowie mąż pewnej pacjentki, oszpeconej porażeniem nerwu twarzowego, uszkodzonego podczas operacji, odnalazł operatora, zaczął się z rewolwerem i po prostu go zastrzelił. Była to w swoim czasie głośna sprawa. Porażenie nerwu twarzowego, odpowiedzialnego za mimikę twarzy, jest wielkim nieszczęściem dla każdego, ale dla kobiety, która uśmiechem potrafi wszystko wytłumaczyć,

czyniąc z niego element swojego skutecznego powabu, jest życiową katastrofą.

Profesor Hassmann, jako pierwszy w Polsce, podjął na szerszą skalę badania nad porażeniem nerwu twarzowego i metodami jego leczenia. Wkrótce z całego kraju przysyłano do nas, jako do wiodącej kliniki, pacjentów wymagających leczenia tego nerwu. Życzył sobie, abym był jego asystentem operacyjnym przy wykonywaniu zabiegów na nerwie twarzowym, w tym w dekompresji, którą wprowadził jako pierwszy w naszej klinice i w Polsce. Popierał wszelkie formy szkolenia asystentów, w tym oczywiście wyjazdy na staże zagraniczne, co w owych czasach nie było łatwe.

cie szkolenia z laryngologii, jest moralnym obowiązkiem asystentów. Po powrocie z Würzburga ze słynnej kliniki Wullsteina, gdzie narodziła się klasyfikacja tympanoplastyk, przekazywał nam dokładnie wszystkie jej szczegóły i tłumaczył na czym ta nowoczesna technika polega.

Gdy miałem wyjechać na stypendium do Paryża, do jednej z najlepszych klinik mikrochirurgii głuchoty, nie krył zadowolenia. Wymienialiśmy później listy na temat najnowszych zdobyczy w otolaryngologii. W jednym z nich zobowiązał mnie także do nauczania się nystagmografii, którą po powrocie wprowadziłem w klinice, urządzając pracownię. W innym liście pisał o stapedektomii,



Fot. Od lewej prof. Paul Aboulker (Paryż), prof. Wiktor Hassmann i autor.

Profesor prawie zawsze towarzyszył nam na zjazdach, na które wyruszaaliśmy nieraz profesorskim fiatem. Podczas wygłaszania referatów czuliśmy się bezpiecznie wiedząc, że na sali jest Profesor, bo nikt nie ośmieliłby się zaatakować pracy asystenta z kliniki znanego profesora. Każda praca, wychodząca z kliniki, była przedstawiana na wewnętrznych posiedzeniach i poddawana surowej krytyce. Wszelkie uwagi asystent wprowadzał do niej przed oddaniem do druku lub przed wygłoszeniem na zjeździe.

Regułą było sprawozdanie z każdego wyjazdu szkoleniowego nawet krajowego. Wprowadzano je zawsze do programu posiedzeń PTO. Profesor uważał, że dzielenie się z asystentami tym wszystkim, co się widziało w trak-

mii, którą jako nową metodę, u nas jeszcze nie wykonywaną, polecał mi zgłębić. Pierwsza w historii Białostoku stapedektomia w jesieni 1970 roku, którą miałem szczęście wykonać pod okiem Profesora, była pełnym napięciem misterium. Chora odzyskała słuch.

Z wielkim wzruszeniem i wdzięcznością wspominam paczkę świąteczną ze smakołykami, która przyszła od Profesora do Paryża przed Bożym Narodzeniem. Był to gest więcej niż serdeczny.

Mimo doskonałej znajomości tematyki wykładów, przed każdym zawsze się przygotowywał. Pracownicy kliniki również byli zobligowani do pomocy. Do zadań asystentów należało rozwieszanie wskazanych tablic, →

przygotowanie kolorowej kredy do pięknych rysunków, którymi uzupełniał zawsze wykład. Dawnym, tradycyjnym uniwersyteckim zwyczajem, w pierwszych ławkach zasiadali adiunkci, asystenci i stażyści, dopiero za nimi studenci. Takim samym dobrym zwyczajem było codzienne poranne badanie przez Profesora nowych pacjentów, przedstawianych przez prowadzących asystentów, w obecności wszystkich lekarzy. Każdego z diagnozowanych przez siebie chorych opisywał zawsze na nowej wkładce, którą wklejaliśmy do historii choroby. Gdy się robi szkic, nie wystarczy jedno-razowe obejrzenie gardła lub ucha. Okazuje się, że brakuje ważnych szczegółów i trzeba jeszcze raz oglądnąć w lusterku lub wzierniku. Bywały zabawne sytuacje, gdy przerywał badanie, chcąc zapisać jego wynik, ale nigdzie nie było wkładki. I nagle wszyscy rozbiegali się po klinice, aby jej szukać, gdyż nie było mowy, aby mogła ją zastąpić zwykła kartka. Aby takie sytuacje się nie powtarzały, zamówiliśmy specjalny wysoki pulpit z podnoszonym blatem, pod którym znajdował się zapas wkładek, o co dbała już siostra zabiegowa. Ustawiliśmy go obok profesorskiego stanowiska badań. Gdy przerywał badanie, czasem nawet kilkakrotnie, stawał przy pulpicy, opisywał i szkicował obraz badanego ucha czy krtań, po czym kontynuował badanie, uzupełniał opis i wykańczał szkic. Szkice te były dokładne i czytelne do tego stopnia, że ich reprodukcje ilustrowały prezentowane na zjazdach prace. Szczegółowe opisy operacji wraz ze schematami zasadniczego momentu zabiegu wykonywał także w książce operacyjnej. Dla nas była to znakomita szkoła stałego podnoszenia kwalifikacji.

W dzień imienin wręczaliśmy Profesorowi składkowy upominek. Przyjmując go z wdzięcznym zażenowaniem, zapraszał do domu wszystkich asystentów na wieczorne przyjęcia, które słynęły ze świetnych czekoladowo-orzechowych tortów, przygotowywanych przez żonę Profesora. Był dobrym tancerzem, więc zawsze były tańce, które sam rozpoczynał. Był człowiekiem pogodnym, uśmiechniętym i towarzyskim. Uwielbiał młodzież, wspólne wycieczki i pikniki.

Gdy wyjeżdżałem na światowy kongres poświęcony leczeniu nerwu twarzewego do Zurychu, prosił mnie o robienie dokładnych notatek, abym mógł po powrocie podzielić się nowościami. Żałował, że sam nie mógł pojechać. Pożegnaliśmy się serdecznie i swoim zwyczajem powiedział mi: *Do widzenia kolego – ja jadę na urlop, zobaczymy się po powrocie.*

Nie przypuszczałem, że będzie to nasza ostatnia rozmowa. Gdy po dwóch tygodniach wróciłem, zadzwoniłem jak zwykle do kliniki i zapytałem zwyczajowo: *Co słychać?* Pani Nela Kruszewska, sekretarka kliniki, odpowiedziała mi bardzo poważnym głosem:

– To pan nic nie wie? Profesor w drodze powrotnej z urlopu uległ koło Bydgoszczy wypadkowi samochodowemu. Stracił przytomność i leży w szpitalu.

Poczułem nagle jak ziemia się pode mną zapada. Pojechałem natychmiast do kliniki, gdzie potwierdziły się usłyszane tragiczne szczegóły wypadku. Profesor nie odzyskał przytomności i zmarł dwa tygodnie później w poznańskiej klinice, 26 sierpnia 1976 roku, w wieku 68 lat. Część mojego świata się zawałiła.

Jan Pietruski

(Autor jest dr. hab. – emerytowanym docentem Kliniki Otolaryngologii AMB oraz prezesem Okręgowej Izby Lekarskiej w Białymstoku).

250. urodziny

Jana Śniadeckiego

Dwudziestego dziewiątego sierpnia tego roku obchodzimy 250. rocznicę urodzin profesora Jana Śniadeckiego, matematyka i astronoma, najświetlejszego umysłu polskiego oświecenia, który na kartach historii pobliskiego Wilna zapisał się jako *Vigilantissimus Rector Almae Mater Vilnensis*.

W służbie nauce i ojczyźnie

Jan Władysław Śniadecki urodził się 29 sierpnia 1756 roku w Żninie, nieopodal Gniezna. Wszyscy z jego rodzeństwa zdobyli świetne wykształcenie. Najślynniejszy z nich, Jędrzej, był wybitnym lekarzem i przyrodnikiem, którego „Teorią jestestw” fascynowali się uczeni tej miary, co znakomity berliński fizjolog Jan Müller, znany z opisu oddychania płodu i poczytnego podręcznika „Handbüch der Physiologie”.

Jan Śniadecki ukończył gimnazjum w Trzemesznie. Studiował matematykę w Krakowie i w Paryżu. W latach 1778-1781 podróżował po Europie przez Lipsk, Getynę, Lejdę, Utrecht, Paryż. W czasie tych podróży zaprzyjaźnił się z Jeanem d'Alembertem, Jeanem Condorcetem i Pierre'em Laplace'em. W 1781 roku został kierownikiem Katedry Matematyki w Akademii Krakowskiej i tam po raz pierwszy wykladał tę naukę po polsku. Pierwszego kwietnia 1784 roku uczestniczył w pierwszym w Polsce locie balonem (nad Ogrodem Botanicznym w Krakowie). Po kilkumiesięcznym pobycie w Anglii w 1787 roku (Cambridge, Londyn, Greenwich) i w życiu u słynnego astronoma, Williama Herschela, w Slough pod Windsorem, na wniosek Hugona Kołłątaja powołano go do prac Komisji Edukacji Narodowej (1788-89).

Jan Śniadecki biegle znał łacinę, angielski, francuski i niemiecki. Jako profesor krakowskiej Szkoły Głównej →



Fot. Jan Śniadecki.

Koronnej (1781-1803) był głównym inicjatorem powstania w 1791 r. Obserwatorium Astronomicznego w Krakowie. Na sejmie grodzieńskim roku 1793 usilnie starał się o uratowanie finansów Komisji Edukacji Narodowej. Podczas Insurekcji, Tadeusz Kościuszko mianował go członkiem Krakowskiej Komisji Porządkowej. Jan Śniadecki był gorącym patriotą i obrońcą polskości. Jego determinację wyrażały deklaracje walki do „upadłego” o Rzeczpospolitą niepodległą, czemu miały służyć *dwie fuzje i parę pistoletów na strzelanie do Moskali oraz sztuciec wymieniony*. Podobno osiwił w przeciągu jednej nocy, gdy Prusacy wkroczyli do Krakowa 15 czerwca 1794 roku. W 1795 powrócił na uniwersytet krakowski z wykładami, a w rok później zabiegał na dworze w Wiedniu o zachowanie struktury wszechnicy krakowskiej. Tych kilka faktów z jego życia wskazuje na ogromną dynamikę jego działalności naukowej i społecznej.

Wileński Kopernik

Drugiego czerwca 1806 roku Jan Śniadecki odwiedził Wilno. W latach 1807-1815 pełnił funkcję rektora Uniwersytetu Wileńskiego. W 1812 roku Napoleon powierzył mu przewodnictwo nad Komitetem Oświecenia i Wyznań Religijnych w Rządzie Tymczasowym Litewskim. W latach 1807-1824 Śniadecki włodarzył obserwatorium astronomicznemu tej uczelni. Ta dostojna jednostka badawcza znajduje się w samym sercu uniwersytetu. Ma znaczenie symboliczne, a splendor dodaje jej geniusz Śniadeckiego. Zainteresowania rektora gwiazdami w pewnym stopniu oddziaływały na specyfikę uniwersytetu. Nawet motto międzywojennego Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie zdawało się nawiązywać do upodobań Jana Śniadeckiego. Była nim przeróbka cytatu, zaczerpniętego z Eneidy Wergiliusza (*sic itur ad astra – tak się idzie do gwiazd*), „*Hinc itur ad astra*” – stąd idzie się ku gwiazdom. Tak wyrażała się misja uczelni; zgodnie z intencją jej duchowego ojca, Jana Śniadeckiego, by kształcenie uniwersyteckie nie było tylko wiedzą i nauką zawodu, ale również zaznajomieniem się z arkanami szlachetnej duchowości, która unosi nas ku wartościom wyższym.

Mecenas nauki polskiej

Jan Śniadecki bardzo dbał o edukację po polsku, co znalazło swój wyraz w licznych wizytacjach szkół w Krakowie, Pińczowie i Kielcach, gdy jeszcze był profesorem w Krakowie. Gromadził kapitał na publikację „Słownika języka polskiego” Samuela Lindego. Społeczność Żydów wileńskich zawdzięczała mu utworzenie szkoły polskiej, w której mogli uczyć się języka kraju, w jakim się znaleźli.

Śniadecki był znakomitym wychowawcą elity nauczycielskiej. Miał również bardzo ofiarną naturę, o czym świadczy zapis 18 000 złotych polskich dla biednych studentów Akademii Krakowskiej i przekazanie swych prywatnych zbiorów bibliotecznych Uniwersytetowi Wileńskiemu. Ponadto, to on wyselekcjonował kadrę znakomitych uczonych, którzy tworzyli świetność wileńskiego ośrodka naukowego na początku XIX wieku. Śniadecki uważał, że moralność kształtuje *stosunek człowieka do innych współludzi*. Sądził, że podstawą nauki są fenomena oraz relacje między nimi a postrzegającym je człowiekiem. Na podstawie tych doświadczeń można wg Śniadeckiego wywodzić prawa powszechne. Pozostawił po sobie liczne publikacje, m.in. „Rachunku algebraicznego teoria” (Kraków 1783), „O Koperniku” (Warsza-

wa 1802), „O metafizyce” (Wilno 1814), „O języku polskim” (Wilno 1815), „O filozofii” (Wilno 1819), „O pismach klasycznych i romantycznych” (1819), „Filozofia umysłu ludzkiego” (1822).



Fot. Obserwatorium.

A oto kilka z jego z złotych myśli:

- Najistotniejszy przymiot nauczyciela i człowieka uczonego jest jasność, precyzja i porządek myśli.
- Być gruntownie uczonym nie jest to jedno, co wiele rzeczy pamiętać.
- Człowiek porządnie uczony powinien wprzód wiele rzeczy wiedzieć, żeby mógł potem jeden przynajmniej obiekt gruntownie objąć.
- Każda... prawda... być powinna pod ścisłą strażą mądrości, żeby nie przeszła swych granic, za którymi staje się błędem, a częstokroć źródłem domowego i publicznego nieszczęścia.
- Interes kraju tak można zgubić nieprawością i lenistwem jak nieumiejętnością rzeczy.
- Kraina orłów nie jest to kraina wszystkich bez braku (tj. wyjątku) latawców.
- Zaćmienie myśli rośnie w miarę ogólności.
- Każda nauka ma swoich półmędrków i kuglarzy.
- Nauka bez obyczajów jest hańbą człowieka, a klęską dla społeczności.

Od 1814 roku Jan Śniadecki zmagał się z pewnym rodzajem astmy. Dwudziestego pierwszego listopada 1830 roku zmarł na atak serca w Jaszunach pod Wilnem. W opinii Najjaśniejszego Pana, JKM Stanisława Augusta Poniatowskiego, Jan Śniadecki: *należy do tych, którzy stale i nieprzerwanie zasługiwali na moją przychylność i na mój szacunek*. Na nagrobku tego znakomitego matematyka, astronoma i filozofa wyryto napis „vigilantissimus rector”, a historyk literatury polskiej Ignacy Chrzanowski nazwał Jana Śniadeckiego *nauczycielem narodu* w dowód uznania dla jego przemożnego wpływu etycznego na światłe wychowanie pokoleń w duchu polskości.

Andrzej Wincewicz

(Autor jest doktorantem w Zakładzie Patomorfologii Lekarskiej AMB).

Wirusowe Zapalenie Wątroby

Spożywając obfitujące w tłuszcze posiłki, pijąc napoje alkoholowe, nie szanujemy wątroby. Zapominamy, że wątroba to jeden z najważniejszych i największych narządów w organizmie. Jest odpowiedzialna za magazynowanie witamin, węglowodanów, jak również za przetwarzanie substancji pokarmowych. Wątroba syntetyzuje różne białka i czynniki krzepnięcia krwi, kontroluje stężenie jej elementów biochemicznych, reguluje stężenie hormonów i odpowiada za rozkład szkodliwych związków biochemicznych. Wątroba narażona jest na choroby wirusowe.

Wirusowe zapalenie wątroby, potocznie nazywane żółtaczką lub żółtaczką zakaźną, to choroba wywołwana przez jeden z kilku znanych wirusów hepatotropowych. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) informuje, że na świecie żyje około 1,8 miliarda osób zakażonych WZW. Objawy chorobowe, występujące w przebiegu WZW, są podobne we wszystkich jej typach, niezależnie od wywołującego je wirusa. Są to: zażółcenie powłok, objawy rzekomo grypowe, objawy dyspeptyczne, osłabienie, rozpieranie w prawym podżebrzu wywołane powiększeniem wątroby. Czasami występują świąd skóry i śpiączka wątrobowa.

Wirusowe zapalenie wątroby typu A, zwane potocznie żółtaczką pokarmową, jest wywoływane przez wirus HAV – Hepatitis A. Wirus przenoszony jest drogą pokarmową. Z tego też powodu WZW typu A zalicza się do grupy chorób brudnych rąk. Coraz częściej stosowane szczepienia ochronne powodują, że już od kilku lat systematycznie zmniejsza się ilość przypadków WZW typu A w naszym kraju. WZW typu A można się zakażać przez spoży-

cie zakażonych produktów żywnościowych, zanieczyszczonej wirusem wody oraz przez kontakt z osobą chorą. Ryzyko zakażenia wzrasta w sytuacjach, kiedy ograniczona jest możliwość stosowania zasad higieny, np. w podróży oraz w regionach czy krajach, gdzie warunki sanitarne są złe.

Wirusowe zapalenie wątroby typu B (hepatitis B, WZW B) jest chorobą zakaźną, cechującą się rozlanym, nieropnym uszkodzeniem wątroby, spowodowaną zakażeniem wirusem zapalenia wątroby typu B (HBV). Jest to najczęstsza postać wirusowego zapalenia wątroby. Szacuje się, że wirusem tym zakażonych jest na świecie około 300-400 milionów ludzi. Najmniej zakażonych, poniżej 0,1 procent, znajduje się w Europie Północnej, Ameryce Północnej i Australii, najwięcej, powyżej 20 procent, w Afryce, Azji i krajach Pacyfiku. W Polsce liczba nosicieli jest średnio nasiloną (1-2 procent), ale około 20 procent populacji posiada przeciwciała, świadczące o przebytych zakażeniu. Światowe dane szacują liczbę osób, posiadających przeciwciała przeciw WZW typu B, na dwa miliardy. Oznaczałoby to, że WZW typu B jest jedną z najbardziej powszechnych chorób zakaźnych. Równocześnie schorzenie to jest bardzo niebezpieczne, ponieważ oprócz ostrej odmiany, której liczba przypadków w ostatnich latach systematycznie maleje, powoduje także przewlekłe zapalenie wątroby, często o bardzo nielichych objawach czy wręcz przebiegu bezobjawowym. Dodatkowym zagrożeniem jest marskość wątroby i pierwotny rak wątroby wywoływane przez wirus HBV. Zakażać się można: w czasie porodu od zakażonej matki, poprzez źle wyjałowiony sprzęt medycz-

ny i kontakty seksualne. Skuteczną metodą zapobiegania jest szczepienie ochronne.

W wirusowym zapaleniu wątroby typu C (hepatitis C, WZW C) wyróżnia się sześć genotypów wirusa C (HCV) i kilkanaście podtypów, z których najbardziej rozpowszechniony jest podtyp 1a, będący przyczyną około 60 procent wszystkich zachorowań. Nosicielstwo wirusa stwierdza się u ponad 80 procent zakażonych, a u 40-90 procent chorych choroba przechodzi w stan przewlekły. Zakażeniem wirusem HCV można ulec podczas przetaczania krwi i produktów krwiopochodnych, naruszenia ciągłości tkanek w związku z zabiegami medycznymi, w czasie hemodializ, zabiegów okołoporodowych, w czasie porodu i drogą płciową. WZW typu C może przebiegać z objawami żółtaczki lub, co często spotyka się u dzieci, bez tych objawów. Powikłaniem ostrego wirusowego zapalenia wątroby typu C może być piorunujące zapalenie wątroby o bardzo poważnym rokowaniu co do życia. Powikłanie to dotyczy mniej niż 1 procenta chorych i jest raczej skojarzone z innymi czynnikami, a przede wszystkim z nadkażeniem HBV. Osiągnięciem ostatnich lat jest leczenie interferonem alfa. Dodatkowo zalecany jest odpoczynek fizyczny i psychiczny chorego. Piorunujące zapalenie wątroby wymaga intensywnego leczenia farmakologicznego, wyrównującego zaburzenia wywołane uszkodzeniem tego narządu, a wystąpienie ostrej niewydolności wątroby wymagać może nawet przeszczepu tego narządu.

Anna Grzeszczuk

(Autorka jest dr. n. med.

– pracuje w Klinice

Obserwacyjno-Zakaźnej AMB).

Robert Henryk Kranc

(Autor jest mgr.

analizy medycznej

– współpracuje z Kliniką

Obserwacyjno-Zakaźną AMB).

*Klinika Obserwacyjno-Zakaźna
AMB organizuje kursy*

*nt. chorób zakaźnych przewodu
pokarmowego, a także zakażeń
wirusami hepatotropowymi.*

*Udział w kursie jest bezpłatny
i zapewnia punkty edukacyjne.*

**Rozmowa
w stanie bezsenności**



*Z Panem Andrzejem,
pacjentem Kliniki
Obserwacyjno-Zakaźnej AMB,
chorym na WZW,
rozmawia Robert Henryk Kranc.*

Czy pamięta pan jak doszło do zakażenia WZW?

Nie potrafię dokładnie odpowiedzieć na to pytanie. Podejrzewam jedynie, że do zakażenia mogło dojść podczas wizyty u stomatologa lub w trakcie okresowych badań kontrolnych, podczas których pobierano mi krew.

Jakie ma pan dolegliwości związane z tą chorobą?

Bezsenna! Ciągła bezsenność i związana z nią apatia, osłabienie oraz brak sił witalnych. Ostatnio pojawiły się bóle stawów, mięśni oraz świąd skóry.

Jak znosi pan leczenie?

Czy przyjmowane leki powodują jakieś dolegliwości?

Leki od wątroby toleruję w miarę dobrze. Najgorsza jest terapia Interferonem – znoszę ją bardzo ciężko. Często mam podwyższoną temperaturę, koszmarnie zachwiania równowagi, biegunki oraz, jak twierdzą bliscy, zmienność nastroju.

Co dokuczają panu najbardziej w codziennym życiu?

Sama wiadomość o zakażeniu WZW typu C była najgorsza. Teraz trudno jest mi się pogodzić z tym, że do końca życia będę nosicielem i będę chorował na tę chorobę.

Jak do pana choroby odniosła się rodzina?

Wszyscy członkowie mojej rodziny zostali poddani badaniom. Na szczęście enzymy wątrobowe są u nich w normie. Moje relacje rodzinne nie zmieniły się z powodu HCV. Jestem tolerowany.

Korespondencja z Bethesdy



Szanowny Panie Profesorze!
Leszku!

Tu, gdzie jestem, trwa od soboty ulewa. To niemal powódź! Wczoraj wracałam do domu zastępczymi drogami, wiele z dróg bowiem zamknięto. Pozrywane zostały mosty, przewracane drzewa. W dzisiejszych porannych wiadomościach podano, że takiej ilości deszczu na tych terenach nie odnotowano nigdy dotąd. W ciągu najbliższej doby większość czasu wypełnić ma jeszcze deszcz. Jutro prawdopodobnie ma być lepiej, chociaż niebo nadal jest zachmurzone. Niesamowicie! W Polsce upały, tutaj powódź...

W minioną niedzielę byłam na pięknym filmie pt. „Niewygodna prawda”. Opowiada on o ocieplaniu się klimatu, wpływie człowieka i jego działań na to, co się dzieje z przyrodą i atmosferą. Film skonstruowany jest na zasadzie wykładu, a jego treść oparta jest o konkretne dane naukowe. Perspektywa najbliższych pięćdziesięciu lat jest przerażająca! Po projekcji zaległa cisza, a potem rozległy się ogromne brawa dla reżysera. Ten film oglądany jest tutaj przy pełnej widowni.

Leszku, odwiedziłam niedawno – w domu opieki – niezwykle osobę. To ponad 95-letni zakonnik, Polak, pierwszy kapelan wojskowy, biskup połowy Gawlina, góral z urodzenia. Studia ukończył we Lwowie. Gdy nastąpiła wojna, był w Dachau. Jako kapłan, najpierw kapelan, a potem zakonnik całe życie pozostał na emigracji. Zapytałam go:

– *Czy mogę zapisać Ojca życiorys?*

– *Jeszcze nie. Na razie za wcześnie* – odpowiedział.

Obiecał, że umówi się ze mną na takie spotkanie. Pragnie powrócić do Polski, ale staje się to coraz trudniejsze. Tak więc, jeszcze nie mogę napisać tego obiecanego przeze mnie artykułu o człowieku niezwykłym, który, chociaż ukryty za murami klasztoru, ma życie trudne, ale też niezwykle i piękne.

Serdecznie pozdrawiam!

Elżbieta

Betesda 27.06.2006

Elżbieta Tryniszewska
*(National Institutes of Health
National Cancer Institute
Bethesda, USA).*

Magdalena
Grassmann

Ku upadkowi

DLA NIEWIERNEGO TOMASZA

Wśród lasów i jezior,
w kaskadach zieleni,
w głuszy
w ciszy:
upojonej zabim chórem,
pisanej na ptasiej pięciolinii,
brzęczącej trzmielcem,
Szumiącej w konarach drzew,
w ciszy błogosławionej,
wszechobecnej –
taflą zaczarowanej wody
błyszczą okna Boga.
Las cały w toni się nurza.
wiekowe drzewa zauroczone,
stały na głowie,
by się przyjrzyć niebu.
Pierzaste chmury pełzają
po dnie wysłanym słońcem.
Fala je marszczy, kołysze.
Owadzie kręgi do brzegu płyną.
Rudy przyjaciel,
psią łapą je łowi
i na środek odsyła.
Taflę wody rozbiły dwie kaczki,
tu zadomowione.
W diamentowe piórka
słońce łowią,
by lustrzanym błyskiem
rozpalic ognisko miłości.
Sitowie, tatarak,
w chocholim tańcu,
w wodę spadły.
Po kolana zanurzone,
w słońcu liście grzeją,
wyraźnie zadowolone.
Krzaczki żurawin pełzną.
W jałowym trudzie osiągają wodę.
Spoglądają w głębię
i zauroczone, cofają się w brzezinę.
A kapela gra
– delikatnie –
by nie zmacić ciszy.
Ptasie dzwonki, werble,
nie wiadomo czy z głębi,
czy szumiącej kniei,
piękną melodią się kładą.
Stań tuż nad brzegiem,
patrz i słuchaj.
Jawa czy sen
tak serce porusza.
Obraz z palety mistrza.
Tylko tu miłość ma kolor zielony.
I stworzył to Bóg,
popatrzył
i powiedział, że
TO JEST DOBRE.
Spójrz niewierny Tomaszu,
zobacz Ojca Pana Swego,
poprzez dzieło Jego.

Marek Chyczewski

Schyłek XVIII i początek XIX wieku można uznać za ostatnie lata blasku i sławy magnackiej rezydencji nad rzeką Białą. Historia pałacu splótła się z historią Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Dziewiętnasty wiek przyniósł zniewolenie i obce rządy. Podlaskiego Wersalu nie zламаł jednak ani potop szwedzki, ani najście moskiewskie, zabory czy kampania Napoleona. Zniszczył go dopiero ciężar XX wieku.

Mecenat Izabeli

Po śmierci Jana Klemensa Branickiego, w 1771 roku, rezydencja hetmańska pozostawała dożywotnio w rękach jego żony, Izabeli. Formalnymi spadkobiercami dóbr białostockich byli jednak Potoccy, krewni hetmana. Izabela dokładała wszelkich starań by Podlaski Wersal nadal służył ze swego piękna i rozmachu. Okrojone dochody wymagały jednak pewnych zmian: zredukowano załogę wojskową, rozwiązano kancelarię hetmana, czas odcisnął swe piętno na wyposażeniu wnętrza i otoczeniu pałacu. Pod koniec XVIII wieku rezydencja białostocka uległa częściowej dewastacji, m.in. poprzez przejście wojsk rosyjskich w 1792 roku. Szkody szybko naprawiono, Izabela bowiem dbała o porządek.

Pani Krakowska kontynuowała dzieło męża przede wszystkim w zakresie rozwoju edukacji. Za jej przyczyną, w latach siedemdziesiątych XVIII wieku, Komisja Edukacji Narodowej utworzyła w Białymstoku trzyklasową szkołę podwydziałową. Podlegała ona Szkole Głównej Litewskiej. Z inicjatywy Izabeli, istniała także szkołka dla dziewcząt z ubogich rodzin, prowadzona przez siostry zakonne. Niewątpliwie zasługi położyła hetmanowa jako protektorka doktora Jakuba Feliksa de Michelisa, swego nadwornego lekarza, stwarzając mu dogodne warunki do utworzenia pałacowej szkoły położnych.

Białostocki pałac często odwiedzał brat Izabeli – król Stanisław August Poniatowski. To w Podlaskim Wersalu, w grudniu 1794 roku, będąc w drodze do Petersburga, ostatni raz żegnał się z Polską. Zjeżdżali i inni goście tacy jak cesarz Józef II czy wielki książę Paweł, późniejszy car.

W 1802 roku pałac zmienił swego właściciela – Potoccy sprzedali go królowi pruskiemu Fryderykowi Wilhelmmowi III. Ten jednak nie mógł do czasu śmierci hetmanowej wejść w posiadanie pałacu. Nastąpiło to dopiero w 1808 roku, gdy zgasła Pani Krakowska. Wraz z nią skończył się etap świetności białostockiej rezydencji, która odtąd chyliła się ku upadkowi.



Fot. Epitafium Izabeli Branickiej w starym kościele.

Pod rządami carów

Na mocy traktatu zawartego w Tylży, Białystok znalazł się w rękach rosyjskich. W związku z tym król pruski odsprzedał te tereny, wraz z pałacem, carowi Aleksandrowi I. W pierwszej ćwierci XIX wieku pałac zamieszkiwali urzędnicy rosyjscy. Pojawiły się →

plany utworzenia tu letniej rezydencji carów. W 1826 roku przystąpiono do dużego remontu pałacu, mającego przystosować go do nowej funkcji. Zmiany dotyczyły m.in. kaplicy pałacowej, zamienionej na cerkiew prawosławną według projektu prof. Miedlnikowa. Otrzymała ona wezwanie Aleksandra Newskiego. W 1831 roku przez krótki czas mieszkał tu wielki książę Konstanty. Carowie rzadko tu jednak bywali, rezydencja przeżywała regres. Wyposażenie wewnątrz stopniowo wywożono do Cesarstwa. Zlikwidowano oranżerię, z której drzewka przeniesiono do Belwederu i Łazienek.

W czasach cara Mikołaja I pojawił się pomysł utworzenia w pałacu Instytutu Panien Szlacheckich, co potwierdzono ukazem w 1837 roku. W związku z tym budynek musiano przebudować, przystosowując wewnątrz do celów szkolnych. Prace adaptacyjne potrwały do 1841 roku. Zabudowano wówczas kolumnady boczne, zlikwidowano barokowe hełmy wież, rzeźby z tympanonów, usunięto herby Branickich. Nad

kiej). W czasie przebudowy zniszczono rokokowy wystój pomieszczeń, usunięto boazerie, stiuki, na ściany nałożono tynki, które następnie zamalowano farbami klejowymi i olejnymi. Celem tak przeprowadzonego „remontu” było nie tylko przystosowanie go do funkcji dydaktycznych, ale również, jeśli nie przede wszystkim, wyeliminowanie ducha dawnej epoki, symboliki świata zachodniego, kultury polskiej. Usunięto nawet złotego Gryfa z bramy wjazdowej. Jego miejsce zajęła żelazna chorągiew. W tym stanie rezydencja przetrwała do czasu likwidacji Instytutu w 1915 roku.

Instytut posiadał trzy klasy. Uczono tu m.in.: języka rosyjskiego, francuskiego, polskiego, historii, geografii, religii, przyrody, śpiewu, tańca i robót ręcznych. W zależności od poglądów kolejnych przełożonych, Instytut stawał się ośrodkiem rusyfikacji bądź względnej odwilży. W 1896 roku zmieniono jego nazwę na Białostocki Instytut cara Mikołaja I. W tym samym czasie wybudowano też nowy gmach (obecne Collegium Primum), w którym mieściły się



Fot. Odarta z dekoracji klatka schodowa w pałacu. Rok 1914.

Ostateczny rozrachunek

Lata pierwszej wojny światowej dokończyły dzieła carskich rządów. W pałacu rezydowały na przemian wojska niemieckie i rosyjskie. Dawną rajsą rezydencję Branickich spotkał ten sam los, co inne dzieła polskiej kultury. Splądrowany, odarty z dawnej świetności i blasku, stał się w 1920 roku siedzibą Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego Polski. Niezbyt chlubna to karta z dziejów pałacu.

W okresie międzywojennym przeprowadzono kolejny remont pałacu, przeznaczonego częściowo na mieszkanie wojewody. Mieścił się tu także urząd wojewódzki. Odkryto wówczas kolumnowe galerie, zabudowane w XIX wieku oraz przywrócono dawny mur, dzielący dziedzińce. Prace remontowe przerwała druga wojna światowa. Podczas okupacji niemieckiej pałac był wykorzystywany przez władze policyjne. Ostateczny rozrachunek nastąpił w 1944 roku, podczas przetaczania się frontu. Cały pałac spłonął! Ocalały jedynie kolumny i rzeźby podtrzymujące schody.

I tak oto po blisko czterystu latach w gruzach legła jedna z piękniejszych budowli w tej części Europy. Ale to jeszcze nie koniec historii pałacu...

(Autorka jest historykiem, pracownikiem Biblioteki Głównej AMB).



Fot. Białostocki Instytut Cara Mikołaja I w dawnym pałacu Branickich.

bocznymi skrzydłami rozbudowano piętra, usuwając wazony i attyki. Pałac stracił swój rezydencjonalny charakter.

Na parterze, w korpusie głównym pałacu, powstały: apteka, szwalnia, cerkiew, kuchnia, umywalnie, pokoje przyjeź. Dawne apartamenty hetmana zajmowała dyrektorka Instytutu, w pokojach Izabeli znajdowały się szkolne sale. Na pierwszym piętrze urządzono salę muzyczną, taneczną i rekreacyjną oraz pokoje pensjonarek. Połączono arkadami dawne sale reprezentacyjne, salę balową i jadalnię (do tej pory funkcjonują one pod postacią Auli Wiel-

sale wykładowe, rekreacyjne, gimnastyczne i muzyczne. Zmieniło się także kryterium przyjęcia do szkoły; już nie pochodzenie społeczne, ale zasoby finansowe rodziców dawały możliwości kształcenia. Po 1905 roku przywrócono naukę religii katolickiej w języku polskim. Od tej pory aż do 1914 roku Instytut uchodził za jedną z najlepszych placówek kształcenia dziewcząt w Cesarstwie Rosyjskim. Wybuch pierwszej wojny przerwał działalność Instytutu, który ewakuowano do Petersburga. Wywieziono wówczas pozostałości dawnego wyposażenia wewnątrz.



Adam Dobroński

Słona perła

Proponuję wypad poza obecne województwo podlaskie, ale do miejscowości od dawna dobrze u nas znanej i cenionej. Jej to dotyczy opowieść, którą przytaczam za Jadwigą Siedlecką: „Książę, władca zamku Liszkia-wy, wybrał się w towarzystwie dworu na polowanie na żubry i dziki. Na zakończenie łowów, zgodnie ze zwyczajem, należało ustrzelić sokoła. Długo go książę wypatrywał, wreszcie pojawił się pstry sokół. Myśliwy wypuścił strzałę, trafił, ale ptak leciał jeszcze czas jakiś i spadł w wody Niemna. Książę pogonił za nim, potem skoczył do rzeki i zniknął w toni. Księżniczka szlochala, stojąc nad brzegiem, jej łzy spływały na piasek. Ostatecznie dworzanie uratowali księcia, zaś nad brzegiem Niemna, gdzie niewiasta lała łzy, wytrysnęły po pewnym czasie słone źródła”. Po litewsku sól to druska, więc miejscowość, która

tu powstała zwie się Druskiennikami vel Druskiennikami. Obie nazwy były używane zamiennie w różnych epokach, ta z dwoma literami „n” dominowała w okresie międzywojennym i jest nadal preferowana w polskim piśmiennictwie.

Narodziny kurortu

Ponoć Krzyżacy już w XIV wieku poznali zalety tych okolic, ale pierwsze pisane wzmianki o Druskiennikach pochodzą z XVI stulecia. Były to dobra mereckie, które odwiedzała m.in. królowa Bona. W Wielkim Księstwie Litewskim sól była niezwykle cennym towarem, szukano więc miejscowych solanek, doskonalono sposoby warzenia „białego złota”. Pod koniec istnienia

Rzeczypospolitej Obojga Narodów dotrzeżono i zalety lecznicze wód źródłanych z okolic Druskiennik. Zdaniem osób miejscowych były one skuteczne na różne dolegliwości, na rany i wrzody, nawet na kołtuna. Krążyły wieści o uzdrowieniach chorych, którzy tu przybyli i korzystali z darów natury.

W 1830 roku dokonano badań wód druskiennickich, prof. Ignacy Fonberg opublikował ich wyniki. Okoliczna wio-

przebywało już ponad sześciuset kuracjuszy, a opiekę nad nimi sprawowało czterech lekarzy. Goście ściągali z coraz bardziej odległych stron, a co zamożniejsi bywalcy wnosili własne domy. Zadbano także o oprawę rozrywkową, grała orkiestra, odbywały się koncerty, kursował statek.

Nowy etap w dziejach Druskiennik to powstanie, w 1841 roku, Towarzystwa Lekarskiego, które m.in. inspirowało publikacje popularyzujące kurort. Wśród nich specjalne miejsce zajmowała: „Odyna Druskiennickich Źródeł”. W pierwszym numerze, z kwietnia 1944 r. redaktor naczelny napisał: „Wiercie, że druskiennickie wody i zabawy, chorym i zdrowym zbawienne przynosić mogą skutki, jeśli przyzwicie użytymi będą”. W 1851 roku powstała lecznica dla ubogich chrześcijan, a dwa lata później i dla niezamożnych wyznawców moźjeszowych, natomiast od 1856 roku istniał w Druskiennikach szpital na 100 łózek. Przybywało również hoteli i pensjonatów.



Fot. Hotel Europejski.

Rosła sława miasta i wód

W 1862 roku ruszyły pociągi na magistrali Warszawa-Białystok-Wilno-Petersburg. Od stacji Porzecze było tylko 17 kilometrów do Druskiennik, więc w osiem godzin można tu było dojechać ze stolicy Królestwa Polskiego. Natomiast podróż statkiem z Grodna do kurortu trwała sześć godzin, zadbano też o rozbudowę dróg lądowych. Skutkiem tego pod koniec XIX stulecia Druskienniki miały

niepełna 1300 stałych mieszkańców, zaś liczba gości sięgała 5 tysięcy. Po wydarzeniach rewolucyjnych 1805-1907 roku głowy podnieśli tutejsi przyjezdni Polacy, Eliza Orzeszkowa zorganizowała pierwszy w Druskiennikach polski wieczór teatralny. Przypominano sobie o kobiecie powstańcu, Emilii Plater, z pobliskiego Kopciowa, o pobytach Jana Czeczota – przyjaciela Adama Mickiewicza i Tomasza Zana – i jego tu śmierci w 1847 roku, co potwierdza wierszowane epitafium ze słowami Antoniego Odyńca o wodzu oddziału powstańczego 1863 roku Bolesławie Narbutcie, pobytach Stanisława Moniuszki (leczył się i koncertował) i Władysława Syrokomli (natchnione improwizacje).

skądinąd bardzo źle się nam kojarzący, wróg młodzieży filomackiej, likwidator Uniwersytetu Wileńskiego. On to w 1837 roku przedstawił Mikołajowi I projekt urządzenia w Druskiennikach Zakładu Zdrojowego. Car łaskawie wyraził zgodę, gubernator grodzieński uzyskał pożyczkę, przystąpiono do budowy miasteczka i łazienek z wannami oraz zorganizowano przeprawę promową przez Niemen. W następnych latach osuszono bagna i powstał park zdrojowy. W 1840 roku w Zakładzie Zdrojowym

W 1912 roku rozpoczęto budowę nowego murowanego kościoła według projektu architekta warszawskiego Stefana Szyllera. W neogotyckiej świątyni znajduje się obraz Maria Szkaplerzna, pędzla Wincentego Ślendrańskiego. Starsza jest drewniana cerkiew z pięcioma kopułami (1865 r.). Piękno zachowały wille (przykładem „Linksmą”), stary magistrat i budynek łaźniek zdrojowych (1884 r.). Zakochani winni obowiązkowo odwiedzać Wyspę Miłości, nazwaną tak na pamiątkę pary kochanków, którzy tu utonęli.

Z Druskiennikami związała się na zawsze postać Mikołaja Konstantego Čiurlionisa (1875-1911). Urodził się on wprawdzie w Oranach, ale w Druskiennikach spędził swe dzieciństwo. Tu też spędzał wakacje podczas studiów muzycznych w Warszawie. Wędrował po okolicy, „zbierał nutki”, malował. To bardzo ciekawa biografia Litwina, któremu bliska była Polska. Zmarł zresztą w prywatnej klinice w Pustelniku pod Warszawą, cierpiąc z powodu załamania nerwowego. Będąc w Druskiennikach trzeba zajść do domu artysty, gdzie znajduje się muzeum mu poświęcone. Warto także zwiedzić Muzeum Lasu z kolekcją rzeźb postaci bajkowych.



Fot. Niemen.

W II Rzeczypospolitej

Druskienniki znalazły się na szlaku polskich działań w czasie tzw. Bitwy Nadniemeńskiej, rozegranej jesienią 1920 roku. Stąd wzięła się tu popularność generała, a później marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza (był nawet stateczek „Śmigły”). I on jednak ustępował sławie Józefa Piłsudskiego, ale o tym za chwilę.

Pierwszy po wojnie sezon rozpoczęto w 1922 roku. Dziarsko poczynano sobie Towarzystwo Przyjaciół Druskiennik, wznowiono nawet „Odyne Druskiennickich Źródeł”. Cztery lata później powstało Towarzystwo Lekarskie Druskiennickie, w 1929 roku – samorządowa Komisja Zdrojowa i rozpoczęto inwestycje, m.in. zbudowano wodociągi i wieżę ciśnienia. Niestety, nastąpił kryzys i byłoby bardzo źle, gdyby nie interwencja Marszałka J. Piłsudskiego. To za jego sprawą w 1930 roku Zakład Zdrojowy przeszedł

na własność Banku Gospodarstwa Krajowego, powstała też Rada Naukowa, oddano do użytku owe źródła, a prof. Wacław Jasiński doprowadził do uruchomienia sanatorium dla dzieci („Rabka nad Niemnem”). Pomocą służyło również wojsko, w 1934 roku odnoga kolejowa połączyła Porzecze z Druskiennikami, a dwie stacje pośrednie otrzymały imiona córek Marszałka: Wandzia i Jagódka.

Maria Cybulska zapamiętała koncerty, odbywające się dwa razy dziennie w parku druskiennickim: „Podczas ich trwania, po drugiej stronie Niemna, szczególnie w niedziele i święta, gromadzili się mieszkańcy tamtejszej litewskiej wsi o nazwie Bołtaszyszki. Przysłuchiwali się muzyce, ponieważ muszla koncertowa była ustawiona bardzo blis-

ko rzeki. Niejednokrotnie po odegraniu przez orkiestrę na zakończenie koncertu „Wszystkie nasze codzienne sprawy”, zaczynał się koncert po drugiej stronie rzeki. To zgromadzone tam Litwinki śpiewały swoje ludowe pieśni, które tęskną nutą docierały do nas przez fale Niemna. Tyle było jakiejś dziwnej tęsknoty w tych pieśniach, że kuracjusze, mimo pory kolacyjnej, nie rozchodzili się, tylko słuchali”. Podziwiano tu także śpiew Hanki Ordonówny i sztuki teatralne wystawiane przez Juliusza Osterwę.

W 1938 roku odnotowano w Druskiennikach 14 tysięcy kuracjuszy, w tym połowę narodowości żydowskiej.

Marszałek na wypoczynku

Józef Piłsudski po raz pierwszy odpoczywał w Druskiennikach. Uznał, że potrzebne są mu „tutejsze lasy, gawęda z tamtejszymi ludźmi i smak tutajszych potraw”. A ponieważ lubił szybką jazdę

samochodem, więc z Warszawy docierał nad Niemen w 5 godz. 40 min. Od 1929 r. zajmował domek na Pogance, skromny, ale wygodny i przypominający nieco ten syberyjski. Marszałek chętnie chodził do starej pijalni wód, do parku, nad Rotniczanekę. Pisał przepięknie: „Mała Rotniczanka skoczyła radośnie, spiesząc ku Niemnowi, jakby samą siebie prześcignąć chciała, i tanecznym po kamieniach biegiem w niespodziewane a naocześnie otwarte wrota wąwozu się wsączyła. Szeroki, rozłożysty i wartki Niemen, głęboko prując pierś matki-ziemi, podobieństwo swawolnych gór czynił: spod ziemi trysły źródła o różnych smakach, a barwna zieleń z niespodziewanymi i strzelistymi, jak gotyk, drzewami zastąpiła mech siwy i szary. W ten sposób Druskienniki były niespodzianką myśli Stwórcy w odpoczynku, gdy Ten się uśmiechnął”.

W 1924 roku pracę w Druskiennikach podjęła doktor Eugenia Lewicka, blondynka o ładnych błękitnych oczach i dużym wdzięku. Urodzona w 1896 roku na Ukrainie była też określana jako typ „kresowej stepowej panny, o silnym charakterze, dużej odwadze cywilnej w wypowiedaniu swoich myśli...”. 28-letnią panią doktor poproszono do przeżywającego chwilowe słabości 58-letniego Marszałka. Tak zaczęła

się ta znajomość, temat późniejszych plotek. Eugenia z wielką pasją spełniała swe obowiązki, propagowała w Druskiennikach nowoczesne metody leczenia, kurację słońcem i ruchem. W 1927 roku powstał w Warszawie Urząd Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego, a przy nim Rada Naukowa Wychowania Fizycznego. Przewodnictwem przejął Józef Piłsudski, sekretarzem zaś została E. Lewicka. Zamieszkała przy Belwederskiej, tu na herbatki zachodził Marszałek. Zrobił się wielki szum, gdy w 1930 roku Piłsudski popłynął na Maderę z panią doktor a bez swej żony, co szybko skorygowano. 27 czerwca 1931 roku znaleziono ciało Eugenii Lewickiej. Czy rzeczywiście popełniła samobójstwo? Pogrzeb odbył się 2 lipca, Marszałek pojawił się na mszy, wedle relacji świadków zapłakał rzewnymi łzami. A druskiennicki „Zakład leczniczego stosowania słońca, powietrza i →

ruchu” nazwano imieniem dr Eugenii Lewickiej – „słonecznej panienci”.

Grūtos Parkas

Kilka kilometrów od Druskiennik, na terenie 200-hektarowego lasu, powstał, po wyzwoleniu się Litwy, skansen komunizmu. Przy dwóch wijących się alejach, jednej imienia Włodzimierza Lenina a drugiej – towarzyszkii Marytes Melnikaite, stoją pomniki oraz pawilony, a za rzeczką rozciąga się łągi. Przed wejściem widać wieżę wartowniczą, na torach stoi wagon używany do wywózek na Sybir. W pobliskim kiosku można kupić swoiste pamiątki, na przykład kieliszek z wizerunkiem Lenina, napisem „ni szagu nazad” (ani kroku do tyłu) i miarkami dla pijącego toast: 10 gramów za ojczyznę, 50 gramów za partię i 100 gramów za komunizm. Wśród pomników łącznie dostrzec litewskiego rewolucjonistę Kaksukasa-Mickevičiusa i Lenina, przy czym tego drugiego trzeba było podnieść ku górze, żeby patrzący nie mieli wątpliwości, kto był najważniejszy. Łatwo w tym kamiennych tłumie rozpoznać również Feliksa Dzierżyńskiego. Z popularnych „toczek”, głośników umieszczonych na słupach, dobiegają bojowe śpiewy. Natomiast w galerii umieszczono wielkie obrazy Lenina, Stalina, Breżniewa i innych przywódców, w różnych pozach i z różnymi akcesoriami. Notable komunistyczni stoją – jak żywi – wśród łanów zbóż, nawet ze świniami na rękę, rozmawiają z kołchoźnikami. Jak się kto zmęczy oglądaniem tych dziwności może posiedzieć na ławeczce, napić się kwasu chlebowego z wielkiej beczki, a nawet wejść do klubu na popicie i zakąski.

Zdrowiej jednak wrócić do Parku Zdrojowego, napić się ze „Źródła piękności” (Grožis) słonej wody, tryskającej z głębokości 325 metrów. Mającym dużo czasu polecić wypada borowiny, a wszystkim radości ze spacerów i zadumania się nad wodami Niemna.

Druskienniki (obecnie pisane przez jedno „n”) liczą ponad 20 tys. mieszkańców, w tym około 3 tys. Polaków, którzy mają tu swoje organizacje. Na miejscu domku Piłsudskiego stoi sanatorium Drauguste, w którym bywają mieszkańcy naszego regionu. Z Sejn to tylko nieco ponad pół godziny jazdy samochodem.

(Autor jest prof. dr. hab. – pracuje na Wydziale Historyczno-Socjologicznym Uniwersytetu w Białymstoku).



Jerzy Kopania

Świadomość kresu istnienia

Człowiek jest istotą śmiertelną, czyli każdy kiedyś musi umrzeć. Ale właściwie na jakiej podstawie twierzę, że umrę? Przecież jak dotąd, to umierają inni, ja zaś ciągle żyję! A z tego, że inni umierają, nie można w sposób konieczny wyprowadzić wniosku, że każdy następny też umrze. Posługujemy się wprawdzie takimi wnioskowaniami – logicy nazywają je indukcyjnymi – w życiu codziennym, ale nie gwarantują one prawdziwości wniosku: to, że wszystkie jabłka dotąd wyciągnięte z worka są poobijane, nie przesądza, że kolejne również takie będzie. Może więc któryś z kolei człowiek okaże się nieśmiertelnym?

Każdy uzna, że to niemożliwe. A skoro jest w nas pewność tej niemożliwości, to zapewne jest to pewność intuicyjna, uświadamiana sobie przez człowieka w sposób tak bezpośredni, oczywisty i tak osobisty, jak każdy uświadamia sobie własne istnienie. Intuicyjna pewność własnego istnienia jest jakby dopełniana intuicyjną pewnością własnej śmiertelności; i tak jak nie możemy zanegować własnego istnienia, tak też nie możemy zanegować własnej śmiertelności. Austriacki filozof Max Scheler (1874-1928) twierdził, że intuicja bycia śmiertelnym jest równie pierwotna jak intuicja własnego istnienia.

Jednak Scheler twierdził też, że tę świadomość własnej śmiertelności człowiek zaczął stopniowo, ale coraz silniej, zatracać. O ile dawniej człowiek był świadom, że jest śmiertelny, o tyle teraz jedynie wie, że musi umrzeć. Proces ten zaczął się w czasach nowożytnych i odtąd zaczęło się wypieranie śmierci z obszaru emo-

cjonalnych działań ludzkich. Jest to możliwe, albowiem o ile treści uświadamiane sobie nie mogą być przesłonięte, jak długo są uświadamiane sobie, o tyle treści wiedzy mogą być celowo pomijane, wypierane ze świadomości. Zdaniem Schelera ta zmiana powoduje, że coraz trudniej jest nam uwierzyć w możliwość życia po śmierci – zanika wiara w nieśmiertelność ludzkiej duszy.

Być może Scheler ma rację, chociaż bardziej logiczne wydaje się twierdzenie, że to najpierw zanikać zaczęła wiara w nieśmiertelność duszy, a dopiero jako tego zaniku konsekwencja rozpoczął się proces przesłaniania świadomości bycia śmiertelnym, zastępowania jej wiedzą o skończoności egzystencji ziemskiej. Istotne jest jednak co innego. Oto z chwilą, gdyśmy przestali być świadomi własnej śmiertelności, zmieniło się nasze pojmowanie życia. Życie nie jest odtąd świętością – stało się najwyższą wartością.

Gdy człowiek ma świadomość własnej śmiertelności, wówczas własne życie i życie drugiego człowieka jawi mu się jako świętość, jest bowiem wstępem do nieśmiertelności.

Nic nie usprawiedliwia naruszenia tej świętości, z jednym tylko wyjątkiem: gdy człowiek nie szanuje świętości życia drugiego człowieka. „Kto przeleje krew ludzką, przez ludzi ma być przelana krew jego” – mówi Pismo Święte. Gdy człowiek jedynie wie, że musi umrzeć, życie staje się wartością i to wartością najwyższą, albowiem po nim już nic nas nie czeka. Ale wartość, choćby i najwyższa, jest tylko wartością i zmieniać się może. Życie, którego jakoś maleje, można przerwać aktem eutanazji; życie, które od początku jest niepełnowartościowe, można przerwać aktem aborcji.

Troska o życie jest zadaniem medycyny. A ponieważ chodzi o naszą wartość najwyższą, więc też od żadnej dziedziny wiedzy tak wiele nie wymagamy, wobec żadnej tak wielkich nie stawiamy żądań. A im więcej medycyna może, tym większe mamy do niej pretensje, że nie wszystko może. No bo czy to nie jest skandaliczne, że medycyna nie zapewnia nam nieśmiertelności?

(Autor jest prof. filozofii, kierownikiem Zakładu Bioetyki i Antropologii Filozoficznej Uniwersytetu w Białymstoku).



List z Wilna

Drogi Piotrze!

Nie byłeś jeszcze w Wilnie! Przyjeżdżam tu co roku ładować akumulatory. Musi mi to na długo starczyć, bo pracy moc a moje plany są dalekosiężne.

Dziś opiszę Ci pierwszy dzień mojego pobytu. Nie dziw się, bo każdy dzień jest tutaj bogaty w wydarzenia.

Pobyt w Wilnie zwykle rozpoczynam w Ostrej Bramie. Msza Święta po polsku jest codziennie rano, o dziesiątej. Wchodzę przez Ostrą Bramę, od ul. Bazylińskiej. Przy kościele św. Teresy są piękne kolumny tworzące attykę. Jest tam pięć kolumn i, wyobraź sobie, w każdej przestrzeni pod łukiem widzę pięć czarnych, żebrzących postaci. Że-

ścianach srebrnych wot tworzących tablice, pod którymi są srebrne płaskorzeźby z polskimi słowami Litanii Loretańskiej. To arcymistrzostwo pomysłu niezrównanego Ferdynanda Ruszczyca. Naprzeciwko obrazu Matki Boskiej jest niewielki napis: „Dziękuję Ci Matko za Wilno”. To są wota samego Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Tutaj mam szczęście spotkać moją starowinkę ciotkę. Ma ponad 80 lat. Pomyśl, że ta ciocia Lonia, kiedyś zajeżdżała do kościoła w Konstantynowie (obecnie jest to na Białorusi) powozem zaprzężonym w szóstkę koni. Dziś ledwo wiąże koniec z końcem za mizerną państwową emeryturę (ok. 200 zł). Ciocia nie zawiodła mnie i dzisiaj. Przychodzi codziennie. Czerpie stąd siły na cały

Ciocia odjechała „piątką” z Zawalnej (dzisiejszej Pylimo) na swoje Szeszkinie, zaopatrzona w wiktuały z Polski i nowe fotografie mojego syna Adama, którego bardzo lubi. Będą te fotografie stały na poczesnym miejscu w jej mieszkanku i przynosiły ją do dzisiejszej Polski, a także przypominały czasy, które minęły. Za kilka godzin Ciocia zadzwoni do moich znajomych, aby mi powiedzieć, że czuje dziś obecność Witka, czyli mojego Ojca, z którym spotykała się od dzieciństwa, choć byli dalekimi kuzynami. Tato zmarł już dziesięć lat temu, a ja do dzisiaj jeszcze nie mogę się z tym pogodzić. Sam rozumiesz, co może dla mnie znaczyć jeden taki telefon od cioci, przywołujący pamięć ojca!



Fot. Panorama Wilna z widokiem na Zarczecze.

brzą po polsku. To smutne. Właśnie za tymi kolumnami jest wejście na górę, do kaplicy Pani Ostrobramskiej. Półmrok. Niezbyt szerokie schody. Część wiernych posuwa się na kolanach. Głównie kobiety. Wyróżnia się zakonnica w białym habicie. Trzyma przed sobą obraz Miłosiernego „Jezu Ufam Tobie”. Zobaczą później, jak, zaraz po mszy, kładzie go w ofierze na ołtarzu. To jest jeszcze pierwsza wersja, namalowana przez M. Kazimierowskiego, *nota bene* spoczywającego na białostockim cmentarzu farnym.

Nie byłeś tu jeszcze, więc nie widziałeś pięknie rozmieszczonych na

dzień. Przy uściskach leją się łzy:

– *Długo się dzisiaj modliłaś* – powiedziała do mnie, gdy się już nacieszyliśmy spotkaniem.

– *Nie mogło być inaczej* – odparłam.

A tak naprawdę nie mogłam się oderwać od śpiewnych, gorących modłów tutejszych Polaków. Odezwały się głosy znane z mojego szczęśliwego dzieciństwa. Znowu słyszałam dźwięki giżyckich organów i wileński głos giżyckiego organisty, pana Blockiego, głos moich dziadków, ojca cioci Heli, głosy ludzi dawno spoczywających na cmentarzu. Czy jesteś w stanie to zrozumieć, podobnie odczuć?

Dzień jest dzisiaj wiosenny i słoneczny, w sensie dosłownym i przenośnym. Śniegu nie zobaczysz, a przecież dopiero początek lutego. Pogoda jak na wileńskie Kaziuki w marcu. Od przystanku na Zawalnej, gdzie pożegnałam ciotkę, jest już niedaleko do Kościoła Wszystkich Świętych. Jest to jeden z zabytków wileńskiego baroku. Jaka ulga znaleźć się w odnowionym wnętrzu! Ucieczka przed zgiełkiem ulicy, wspomnienie po wujostwie Leonie i Marii, którzy tu uczęszczali. Trochę za dużo niebieskiego po restauracji wnętrza, ale piękne różowo-brązowe marmury ołtarzy są zachowane i znowu →

cieszą mój wzrok. Jest cicho, ale za chwilę usłyszę, jak głośno po litewsku spowiada się kobiecina, zakutana w szare chusty. Wychodzę, żeby nie spostrzegła, że byłam świadkiem jej wyznań, choć i tak nic nie rozumiałam.

W bramie spotykam parę młodych ludzi. Może studentów? Kiedyś, w 1969 roku, też przekraczałam tę samą bramę,

pobliskich drzwi wychodzi kobieta i nie pozwala ruszać delikwenta. Dowiaduję się, że ma bóle w okolicy serca. Z pobliskiego sklepu wezwano już pogotowie. Nic tu po mnie, powoli odchodzę. Jeszcze dostrzegam, jak jakiś człowiek przynosi mu tekturę i wsuwa pod głowę. Mężczyźni przesuwają chłopaka pod ścianę. Czekają na pomoc. Mam

strzowskie kowalskie słoneczniki!

Rudera obok, która pamięta pożar, dziś zakryta jest rusztowaniami. Czy też będzie odnowiona? Teraz dopiero wiadać, jaki to ogromny pałac z dziedzińcem. Ostrzegawcze napisy po rosyjsku. Tych litewskich nie rozumiem.

Moje tajne przejście do jednego z przepysznych widoków panoramy Wil-



Fot. Panorama Wilna z widokiem na Katedrę, Górę Zamkową i Uniwersytet.

trzymając za rękę mojego tutejszego, ówczesnego narzeczonego. Tylko że do wnętrza zaglądaliśmy przez dziurkę od klucza, widząc same rupiecie. Żal ścisnął serce i nie uwierzyłabym wtedy, że po latach będę odwiedzała ten sam kościół przepięknie odnowiony i przywrócony wiernym. W jakimś sensie i mój kościół.

Refleksje o względności rzeczy i zjawisk, myśli o przemijaniu jeszcze plątały mi się w głowie, kiedy za rogiem ulicy zaraz przy kościele Wszystkich Świętych, natknęłam się na leżącego na ziemi młodego człowieka. Ludzie go mijali, a on leżał na resztkach zlodowiałego śniegu z nogami na jezdni i odrzuconą na bok głową na chodniku. Nikt się nie zatrzymał. Podchodzę bliżej.

– *Co się stało?* – pytam po polsku.

Nie reaguje na mój głos. Za mną zatrzymuje się jego rówieśnik i zaczyna rozmowę po litewsku. Otwierają się półprzytomne oczy i pada odpowiedź po litewsku. Jestem bezradna i nic nie rozumiem, ale widzę, że źrenice nie są sztywne i nie ma zapachu alkoholu. Zza pazuchy wypada na „trotuar” zawinięty w folię śledź. Chłopak porusza rękoma, z ust padają słowa jakiegoś lamentu. Z

nadzieję, że szybko przyjedzie. Może w Wilnie nie ma łowców skór? A swoją drogą, życie jest kruche.

Z placu Kapucynów można przejść uroczym zaułkiem poprzez bramę filharmonii, pięknie niegdyś odnowionej przez kielecki Budimex. Zszarzała jakoś od tamtego czasu. Jestem natomiast zaskoczona odświeżonym wyglądem ul. Subocz. Z boku pięknie się prezentuje brama Bazylianów. Podążam na Subocz. Na rogu redakcja „Naszej Gazety”. Ciocia mówiła mi, że już zmieniono nazwę na „Nasz Czas”. Nie sprawdziłam, czy ta zmiana widoczna jest na tablicy. Czym prędzej powędrowałam w górę Subocz, tak niegdyś wydeptywanej przeze mnie, gdy tworzył się lub odnawiał ambitny Polski Uniwersytet, kierowany przez prof. P. Brzisa.

Już dziesięć lat upłynęło od czasu, gdy miałam tu swoje wykłady o polskim uniwersytecie w Edynburgu. Budynek jest pięknie wyremontowany przez SKANSKA. Teraz nazywa się Andersen. Podziwiany niegdyś przeze mnie secesyjny budynek, stojący naprzeciwko, teraz jest jeszcze piękniejszy. A jakie przepyszne okucia! I mi-

na koło bastionu, dzisiaj jest niebezpiecznie oblodzone. Muszę to zostawić na następny pobyt, może z Tobą?

Dochodzę do kościoła Misjonarzy, więc mniej już romantyczną trasą. Przez okna widać ponury obraz stłoczonych łóżek szpitalnych. Różnokolorowe koce i szaro-żółte metalowe łóżka. Na nich leżą cierpiący i bardzo smutni ludzie. Biednie tu.

Na dworze słońce. Z radością odnajduję kolejne znajome przejście, znajome schodki... Kiedyś, z prof. Andrzejem Pawlakiem i Anką Jeziorowską, robiliśmy tu zdjęcia na tle Misjonarzy. Genetycy byli wówczas pod wrażeniem swoistego piękna Wilna. Pokazywałam wówczas Wilno też okulistom z Poznania. Sadzę, że kiedy Ty tu przyjedziesz będzie podobnie. I może sama Ci to pokaże, jak zechcesz?

Koło kościoła Zbawiciela (Misjonarzy) prowadzi droga na Rosse. Trzeba jeszcze tylko minąć dawny Kościół Wizytek, zamieniony teraz na więzienie, przejść przez tory i już masz wzgórze przed sobą. Idąc, z pewną miną, znajomą mi drogą, zagapiłam się. Patrzyłam na elegancko ubraną kobietę, siedzącą z dziećmi na ławeczce pod drzewem, tuż koło więzienia. I wtedy... o mały →

włos nie wpaść pod samochód!!! Pędził z ogromną prędkością, niepomny przejścia dla pieszych. Cudem odbiegłam i w ostatniej chwili, łapiąc oddech, zobaczyłam, jak oblepiony reklamami jakiejś firmy bordowy samochód szybko zniknął za zakrętem na moście. Za chwilę kolejny problem, bo pod moimi nogami znalazł się dokument jakiegoś człowieka z Kłajpedy. Po chwili wahania zostawiłam jednak na drodze ten dokument, pomna jak kiedyś w Norymber-

się jakiś mniejszy. Wszystkie ścieżki, po których się wspinam, są jakieś krótsze, łatwiejsze do pokonania. Najpierw odwiedzam profesorów USB, leżących, na lewo, tuż przy murze. Krzyż u prof. Dziewulskiego, rektora USB jest bardzo stary i bardzo skromny, a tablica jakby współcześnie przywieziona z Polski. Przez pana Wacława z Gdańska? Jest tam, gdzie leży brat Piłsudskiego, a w samym rogu widać groby rodziny Łupaszków. Czy mają związek z pseudoni-

herb Pocijów dziś jest dobrze widoczny w słońcu. Zaglądam do, wyjątkowo dziś otwartej, kaplicy w podziemiach. W środku leży nieboszczyk. Znowu rozmyślałam o kruchości życia.

Brama opodal też jest, po raz pierwszy, szeroko otwarta. Zaułki klasztoru karmelitów. Czarny kot z białym pyszczkiem przechadza się koło mnie tam i z powrotem, jakby chciał mi przekazać coś tajemniczego. Usadowił się tu w części pomieszczeń Instytutu Architek-



Fot. Panorama Wilna z widokiem na kościół Św. Kazimierza.

dze sama zgubiłam paszport. Jaka byłam szczęśliwa, gdy wówczas odnalazłam go pod drzewem. Leżał tam przez całe pół godziny i nikt na szczęście go nie podniósł! Mogłam wtedy spokojnie realizować dalszą podróż do kraju. A tu, kto wie, jak lepiej postąpić?

Cmentarz na Rossie. Nie wiem już po raz który odwiedzam serce Naczelnika i grób jego Matki. Wchodzę przez bramkę ozdobioną świątkowym obrazkiem-płaskorzeźbą Pani Ostrobramskiej. Odczytuję ponownie znajomy napis z granitowej płyty „Ktokolwiek zamiast domu wybrał gniazdo orła na skale wśród wicherów i burz, z czerwonym błyskiem oczu szatana... Tak żyłem”. Przy literach SYN odłamany granit. Podreperowany nieco. U dołu trzy wieńce z biało-czerwonymi sztucznymi gerberami. Przy murze cmentarnym kolejne trzy wieńce: „Dla wileńskiego Wodza, Marszałka Piłsudskiego”. Po mojej lewej stronie na każdym grobie AK-owcom położono po jednym biało-czerwonym bukietku. Dlaczego nie ma kwiatów po mojej prawej stronie, gdzie spoczywają polscy żołnierze z 1919?

O tej porze roku nie ma liści na drzewach, a przez to cmentarz wydaje

mem majora Szyndzielorza? Odkrywam, że grób Wiwulskiego, na górze, jest niedaleko grobu pierwszej żony Marszałka, Marii. Niebawem dochodzę do grobów Kondratowiczów (w tym Syrokomli). Obok charakterystyczny grób Eustachego hr. Tyszkiewicza. Powyżej leżą: malarz Ciurlonis i gitarzysta Sokołowski.

Schodzę w dół utartą ścieżką. Dochodzę do jednej z szerszych dróg. Tam mijają mnie dzieci z tornistrami. Młode dziewczyny szybko mnie wyprzedzają. W płocie na dole jest wyłom. Teraz jest jasne, skąd wzięła się ta uczęszczana tłumnie ścieżka na skrót przez cmentarz. Chłopak, żegnający się przed figurą Pana Jezusa z grobowca, zadziwia mnie powagą. Prosi o wsparcie przed klasówką, czy modli się o zdrowie bliskich?

Nieopodal grobowiec sióstr wizytek. Czy to tych z dzisiejszego „więzienia”? Znajome nazwiska na grobach: Iwaszko, Wołczyński, Żukowscy

Autobus 31. Dwa przystanki i znowu Ostra Brama. Dostrzegam odkryty fresk. Jeżeli Brama była pokryta kiedyś freskami, to dopiero musiało być pięknie! Na murach kościoła św. Teresy tynek się sypie, ale charakterystyczny

tury wileńskiego Uniwersytetu. Wre praca odnawiania. Spawanie iskrzy tuż przy starym murze. Za jego załomem widać ślady dawnego ogrodu. Ciekawy jest nowy widok na Ostrą Bramę, od podwórka.

Wracam na Ostrobramską. Tym razem dochodzę do eleganckiego hotelu Astorii, sieci hotelowych Radisson SASu. Kiedyś w tym miejscu, przy kawie, poprawiałam pracę do publikacji, o chromosomie Y. Student zniknął, a praca czeka na kolejną moją korektę. Czy znowu w Wilnie? Tylko wystrój kafejki w międzyczasie nieco się zmienił. Nie ma na ścianach starych zdjęć Polaków w wojskowych przedwojennych mundurach, które mnie wówczas tak bardzo zaciękały.

Idę dalej na ul. Niemiecką, w dół do ul. Wielkiej (Dijoji). Jest tu kilka zaskakujących akcentów francuskich. Sklep tuż koło Ostrej Bramy z szyldem „Tifany” z lampami stylizowanymi na secesyjne, a poniżej kawiarnia „Paryska”. Przesyłam w myślach pozdrowienia dla Olgi. Będzie za moment na konferencji hematologów w prawdziwym Paryżu.

Kościół św. Kazimierza znowu cały w rusztowaniach. Czy zmieniają →

elewację z różowego koloru na beżowy? Róż tu jest taki piękny! Tchną świeżością odnowione cerkwie: ta bliżej to św. Duchy, ta dalej – św. Mikołaja. Nie mam czasu na ponowne zwiedzanie muzeum sztuki, choć warto by było powtórzyć spotkanie ze Ślendzińskim czy Waletynowiczem, nie wspominając Ruszczyca czy Smuglewicza. Na budynku pałacu dawnych władców – również Podlasia – zauważyłam nowe freski z portretami Chodkiewiczów. Na znajomym placu przed cerkiewką, niedaleko Polskiej Galerii, jak zwykle prezentacje prac plastycznych. Moc nowych, pięknych obrazów. Uciekam by nie kusiły. Mam pustą kieszeń. I te kwiaty!!! Są dzwonki dla dzieci, pełno bursztynu i różności... A to ciekawe! Informacja o wystawie dawnych precjozów z Katedry Wileńskiej. Na barbakanie!

Zaułek Literacki. Na murze okalającym dom, w którym mieszkał Mickiewicz w latach 1815-19 odpada teraz tynk. Polski napis wstydliwie przybladł, a dodatkowo, ściany oszpecają graffiti. Podobnie jest w dalszych partiach zaułka Literackiego i na ul. Wotana, na domu z pierwszym adresem zamieszkania Adama. Serce ścisła.

Mury kościelne kruszeją, święty Michał też przybladł, za to św. Anna jest przepiękna, w nowej szacie a raczej nagości czerwonych murów, gdyż zieleń już tyle nie zakrywa, co latem. Gra światła w jej załomach gotyckich jest wspaniała.

Wreszcie są odnowione mury klasztoru Bernardynów, a nie las rusztowań jak poprzednio. Cudowne otoczenie ma dziś Mickiewicz Jakubonisa. Mimo to, zgarbiony z daleka pomnik wygląda smutno. Wieszczy wędruje pochylony? Mistrz jest zmęczony?

Muzeum Mickiewicza na Zaułku Bernardyńskim. Tam poprawiał Mickiewicz „Grażynę”. Czy zobaczą pamiątki wieszczą tak jak w Warszawie, czy w Nowogródku? Ale i tym razem muzeum jest zamknięte. Next time. Marzenia trzeba odłożyć na półkę Odmalowany na jasny brąz balkon wygląda smętnawo w porównaniu do tego zielonego, który pamiętam z czasów włóczenia się po Wilnie z wujem – profesorem Zdzichem Chlewińskim i innymi profesorami brazylijskiego spotkania „Nauka a jakość życia”.

Teraz jest Sala Filomatów! Czytam napis. Instytut dziennikarzy litewskich mieści się obok muzeum. Tego wówczas jeszcze nie było. Naprzeciwko domu Mickiewicza pojawił się teraz hotel „Szekspir”. Przed nim zaułek o bardzo dziwnej nazwie „Siltadarzio”. Słyszę, jak kobieta sama ze sobą głośno rozprawia. Potem widzę, jak podnosi w ogródku deskę, pod którą można zobaczyć zielone pędy obudzonych na wiosnę kwiatów. Czy to naprawdę wczesna wiosna w początkach wileńskiego letniego?

Na kamiennym słupie przy wejściu do starej kamienicy wygrzewa się na słońcu kot bury. Czy takie słupki służyły kiedyś do przywiązywania koni? Stary bruk, kilkusetletni pewnie, pamięta jeszcze stukot tamtych koni i tamtych powozów.

Główna brama do mickiewiczowskiego cieleńnika (parku) dziś jest zamknięta. Do bramki nie podchodzę, bo jak ją przekroczyć, to już tu zostanę.



Fot. Z wieży Poczobutta.

Warto zachować jeszcze trochę sił, by wdrapać się na górę Zamkową. Widać stąd, jak tam wchodzi teraz dziadkowie i dzieci. Moje nogi jeszcze nie wołają o wsparcie. Po drodze cieszy widok Wilenki, toczącej swe wody do Wilii. Jasno oświetlone w słońcu bieleją trzy Krzyże Wiwulskiego. Mogę zobaczyć z góry, jak dużo jest obiektów sportowych w cieleńniku: liczne korty, boisko i coś do zabawy: dwie ogromne karuzele prześwitują przez drzewa.

Witoldowego zamku dawno nie widziałam. Ciekawy jest, choć dość skromny, zbudowany z czerwonej cegły. Chłopcy wykrzykują coś z wieży. Podchodzę do muru z kamieni, z wy-

pisywanymi prawie na każdym wyznaniem, i spoglądam na stare miasto, rozciągnięte u stóp. Aż...dech zapiera od wspaniałej panoramy Wilna! Przede wszystkim kościoły i ich wieże. Rozpoznaję nie tylko pobliską katedrę z figurami św. Heleny i św. Stanisława, ale i św. Annę, i Bernardynów, i św. Kazimierza, nieczynny nadal kościół Augustynów, a także Zbawiciela, św. Teresy i Wizytek, Bazylianów, św. Katarzynę, i zawsze polski kościół św. Duchy. Gmachy Uniwersytetu z wieżą obserwatorium astronomicznego Poczobutta, w której kiedyś fotografowaliśmy się z Jasiem Leończukiem i panią Wandą z białostockiego oddziału Wspólnoty Polskiej. Snuję wspomnienia...

Dachy połyskują w słońcu. Dla tej panoramy warto było tu przyjść, ba!, a nawet przyjechać ponownie do Wilna. Czy zdołam ją unieść pod powiekami? Zabrać do naszych? Panoramę oddziela mur, jak symbol obecnych czasów. Piękno dawnego Wilna za murem, tutaj, i za murem litewskiej granicy. Jak dobrze, że jeszcze można ją tak łatwo dziś przekraczać!

Wracając, zobaczyłam staruszka wychodzącego na strome zbocze po pustą butelkę. Bieda znowu zakrzybiała. Kontrast podwójny. Młode, wystrojone dziewczyny w kozakach na wysokich obcasach, wspinające się na górę, i ten człowiek w podniszczonej kurtce ze zdobyczną butelką!!!

Na dole kolejna niespodzianka. Widok zamków, górnego i dolnego, na tablicy w wizji do odbudowania.

Pomnik Gedymina, Kaplica Królewska katedry i postacie rzeźbione Jagiellonów na zewnątrz – kopie tych, które pamiętam srebrne z kaplicy św. Kazimierza. Ale cóż to? Znowu będę je podziwiał, pomimo że dzień dziś nieświąteczny. Do wnętrza katedry wchodzę przez boczne wejście. Nawet jest uchylona brama do kaplicy św. Kazimierza. Wchodzę ze zdziwieniem i zajmuję swoje ulubione miejsce. Uśmiechnięta dziewczyna, znajomy słoń i jeleń cieszą moje oczy, nie wspominając już o srebrnym ołtarzu, rzeźbach polskich monarchów i obrazach związanych ze św. Kazimierzem. Starsza kobieta zagaduje mnie po litewsku, ale kiedy słyszy mój nieskrepowany język polski →

natychmiast odpowiada śpiewnie po polsku. Niebawem mogę u niej kupić dwie ofiarne świeczki za 1 lita. Zapłoną przed ołtarzem. Nigdy przedtem nie było takiej możliwości. Zwykle kaplica była zamknięta i tylko z wycieczkami wślizgiwałam się do jej wnętrza. Doświadczam się teraz, że jest otwierana codziennie po południu i można tu przychodzić do woli. Nowe porządki i miła perspektywa! Jeszcze tylko przegląd obrazów Smuglewicza w nawie głównej katedry, westchnienie przy kaplicy Barbary Radziwiłłówny i już jestem w objęciach ulicy Gedymina z odnowionymi secesyjnymi kamienicami, bankami i z możliwością wymiany złotych na zakup starych kartek z Wilna, fotografowanego jeszcze przez Bułhaka.

Wracając do zdarzeń wileńskich... Jeszcze jedna odmiana. W często odwiedzanej niegdyś księgarni, dopiero teraz, kupując dostępne tu polskie książki, zostałam mile zaskoczona. Po raz pierwszy chętnie i uprzejmie rozmawiano tu ze mną po polsku. Chodzi mi o obsługę przy kasie, bo... pogawędki z rodakami w tej księgarni zawsze były miłym elementem moich poprzednich pobytów.

Na koniec pierwszego dnia wędrówki autobus 10 zabierze mnie przez słynny Zielony Most nad Wilią na ul. Kalwaryjską, koło znanego rynku, za odnowioną cerkwią na Zalgirio (Grunwaldzka). Tam zasiądę do komputera pisać list do Ciebie. Będę po pysznym posiłku z barszczem, z cepelinami domowego wypieku i pysznymi karpaczkami pani Teresy. Iruś zaprasza mnie do siebie na Zwierzyniec na jutro, Bonia na pojutrze do Nowej Wilejki, skąd udamy się bezpośrednio do domu polskiego na Nowogrodzkiej, na promocję „Słownika Biograficznego Wilnian”, opracowanego przez profesora Jackiewicza, wydanego przez Andrzeja Furkacza z EX Libris (*nota bene* wydawcą książek Waldemara Łysiaka).

Ale to już będą następne wileńskie dni. Hej!

Pozdrawiam
Alina

(Profesor Alina T. Midro
jest kierownikiem
Zakładu Genetyki AMB).



Neurologrzy wileńscy

w latach 1918-1939

cz. 4.



**Prof.
Janina Hurynowicz**

(1894-1967)

Urodziła się na Wileńszczyźnie, w powiecie święciańskim. W latach 1912-1918 studiowała w Instytucie Medycznym w Petersburgu. Po krótkiej pracy w Ufie zgłosiła się do tworzącej się na Uralu, pod dowództwem płk. Waleriana Czumy, Polskiej Dywizji Syberyjskiej. Pracując w szpitalu dywizyjnym, w styczniu 1920 r., wraz z większością osób dostała się do

niewoli radzieckiej. W następnym roku wróciła do Wilna i podjęła pracę na Oddziale Neurologicznym Szpitala Wojskowego na Antokolu. Po powołaniu Kliniki Neurologicznej w 1922 r. pracowała w niej jako asystent, a potem jako adiunkt. Oprócz pracy w klinice pracowała też w charakterze lekarza neurologa w ubezpieczalni społecznej oraz pełniła funkcję konsultanta.

W 1927 r. Janina Hurynowicz na podstawie rozprawy „Wpływ insuliny na układ nerwowy wegetatywny” uzyskała stopień doktora medycyny. Promotorem pracy doktorskiej był prof. S. Władyczko. Tuż po doktoracie wyjechała na dwa lata do Paryża, tam zajmowała się neurofizjologią doświadczalną i neuropatologią kliniczną. Przez rok pracowała w Klinice Neurologicznej, kierowanej przez prof. Guillaína oraz na oddziale szpitali Salpetriere i Pitié. Nawiązała tam bliskie kontakty z wieloma wybitnymi klinicystami, wśród nich z prof. J. Babińskim. Następny rok to był czas pracy w laboratoriach fizjologii i elektrofizjologii. W nich zapoznała się z metodą chronaksji, trudną, ale obiecującą metodą badania pobudliwości układu nerwowego i mięśniowego. Po powrocie do Wilna, w 1930 roku habilitowała się i została docentem neurologii. Rozprawa pt. „Nerwy interaktywne w świetle badań metodą chronaksji” opierała się na wynikach pracy doświadczalnej, wykonanej w Paryżu. Treścią jej było oznaczanie pobudliwości nerwów →

obwodowych należących do układu wegetatywnego, które nie reagują na pojedynczy impuls prądu elektrycznego, tylko na salwy takich impulsów. Badania układu nerwowego metodą chronaksji zostały szeroko wprowadzone w klinice wileńskiej. Traktowano tę metodę badania jako metodę rozpoznawczą, przydatną zwłaszcza w chirurgii nerwów obwodowych, w chorobach zwyrodnieniowych układu nerwowego, w badaniu układu przedsionkowego.

W 1933 roku na skutek reform oszczędnościowych ministra oświaty, nastąpiło połączenie kliniki neurologicznej z psychiatryczną i powstała Klinika Chorób Nerwowych i Umysłowych. Kierownik kliniki prof. S. Władyczko i personel zostali zwolnieni.

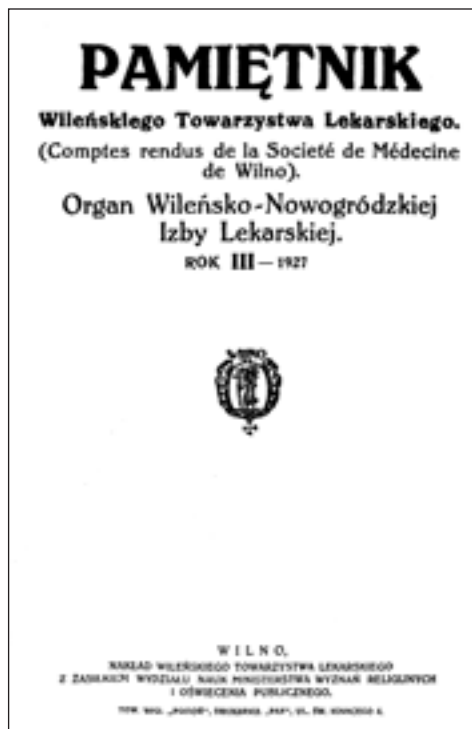
W końcu 1933 r. docent J. Hurynowicz przeniosła się do Zakładu Fizjologii Wydziału Lekarskiego USB, gdzie od 1 marca 1934 r. kierowała Samodzielną Pracownią Neurofizjologiczną. Funkcję tę pełniła do 1937 roku. Po śmierci prof. M. Rosego, kierownika Kliniki Chorób Nerwowych i Umysłowych USB, Rada Wydziału Lekarskiego powierzyła jej pełnienie obowiązków kierownika tej kliniki. Prowadziła ją do września 1938 r., czyli do czasu, gdy kierownikiem kliniki został doc. W Godłowski z Krakowa. Docent Hurynowicz została jego zastępcą.

W czasie okupacji niemieckiej J. Hurynowicz pracowała w Miejskim Szpitalu Neurologicznym, gdzie była zastępcą dyrektora i naczelnym lekarzem. Wszystkie swoje siły i wiedzę zaangażowała w działalność lekarską oraz konspiracyjną. Posługiwała się pseudonimem „Docent”. Narażając swoje życie, leczyła rannych i chorych partyzantów, przyjmowała do szpitala ludzi ukrywających się, zaopatrywała w zaświadczenia chorobowe ludzi zagrożonych przymusowym poborem do pracy w Niemczech. Ponadto brała czynny udział w wojskowej służbie zdrowia Okręgu Wileńsko-Nowogródzkiego AK. Pomagała w zakonspirowaniu poszukiwanych przez gestapo działaczy polskiego podziemia, pomagała im i ich rodzinom, organizowała pomoc materialną. Za tę działalność, w lipcu 1944 r., przez dowódcę Okręgu AK,

gen. Aleksandra Krzyżanowskiego, pseud. „Wilk”, została odznaczona Srebrnym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

W maju 1945 r. opuściła Wilno i w transporcie ewakuacyjnym przybyła do Torunia. Początkowo pracowała tu jako lekarz. W latach 1946-47 dojeżdżała do Gdańska, prowadząc zleczone wykłady w Akademii Medycznej. Rektor zaproponował jej zorganizowanie kliniki neurologicznej. Odmówiła, bo właśnie w

drukiem 93 prace naukowe, z których wiele cytowanych było w literaturze krajowej i zagranicznej. W okresie powojennym udoskonaliła i unowocześniła technicznie metodę badania pobudliwości układu naczynioruchowego oraz kontynuowała prace nad chronaksją odruchów przedsionkowych ucha. Wyszkoliła liczną kadre, z której wiele osób zajęło odpowiedzialne stanowiska w różnych dziedzinach nauki,



Toruniu tworzył się Uniwersytet Mikołaja Kopernika. Powołana została na kierownika i organizatora Katedry Neurofizjologii i Fizjologii Porównawczej na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. W czerwcu 1946 r. została mianowana profesorem nadzwyczajnym neurofizjologii i fizjologii zwierząt, a w maju 1949 r profesorem zwyczajnym. Całą swą rozległą wiedzę, wszystkie siły i niespożytą energię poświęciła na zorganizowanie tej katedry, jej rozwój, wychowanie młodej kadry.

Profesor Hurynowicz angażowała się w różne dziedziny życia naukowego w Polsce. W 1946 r. została wybrana członkiem korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności, była założycielem i pierwszym prezesem toruńskich oddziałów: Polskiego Towarzystwa Lekarskiego i Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego. Reprezentowała naukę polską na licznych kongresach i zjazdach zagranicznych. Ogłosiła

oświaty i medycyny. Wśród jej uczniów znaleźli się późniejsi profesorowie, pracujący w Polsce prof. Z. Kanigowski, w Kanadzie – prof. J. Olszewski i w USA – prof. J. Klatzo. Całokształt jej pracy naukowej, dydaktycznej i organizacyjnej został wysoko oceniony i w uznaniu zasług przyznano prof. J. Hurynowicz wiele nagród i odznaczeń.

Odeszła na emeryturę w 1965 r., a zmarła dwa lata później. Miejscem jej wiecznego spoczynku jest cmentarz w Toruniu (J. Narębski, L. Janiszewski 1975).

Mieczysław Sopek
(Autor jest doktorem nauk medycznych,
byłym wieloletnim pracownikiem
Zakładu Anatomii Prawidłowej AMB).

Magdalena Szkudlarek
(Autorka jest doktorem nauk medycznych,
asystentem w Zakładzie
Anatomii Prawidłowej AMB).

Polacy o tatarskich korzeniach

„Dobry Tatar to martwy Tatar” – dowcipują często nasi rodacy. Polskiemu czytelnikowi Tatar kojarzy się przede wszystkim ze złym Azją Tuhajbejowiczem i słynnym „buntem Lipków”, o których pisał Henryk Sienkiewicz. Pokutuje przekonanie, że Tatar to zdrajca i najeźdźca. Zapominamy natomiast o tym, że lud ten miał swój udział, i to niemały, w tworzeniu polskiej historii.

Początki pobytu Tatarów na ziemiach polsko-litewskich sięgają XIII-XIV wieku, kiedy to zaczęli się tu osadzać Tatarzy ze Złotej Ordy. Byli wśród nich dobrowolni emigranci, ale także jeńcy wojenni. W Polsce przyjęto ich bardzo dobrze. Zagwarantowano im swobodę wyznaniową, a także nadano niektóre prawa obywatelskie. Oni zaś odpłacali wiernością wobec nowej ojczyzny. Brali udział w niemal wszystkich walkach zbrojnych, które staczała Rzeczpospolita – od bitwy pod Grunwaldem poczynając, na II wojnie światowej kończąc.

Dziś w Polsce mieszka około czterech tysięcy osób pochodzenia tatarskiego, z czego najwięcej na Białostocczyźnie. Czują się oni nie tylko obywatelami Rzeczypospolitej, ale przede wszystkim Polakami, choć o tatarskich korzeniach.

W czasie od 2 do 4 czerwca wyznawcy islamu obchodzili 80-lecie istnienia Muzułmańskiego Związku Religijnego. To była najlepsza okazja, by się wzajemnie poznać i zrozumieć. Zwłaszcza w kontekście wydarzeń ostatnich lat i miesięcy.

Pani Halima Szahidewicz, Tatarka, przewodnicząca gminy muzułmańskiej w Białymstoku, przekonuje, że jest to możliwe, i że nie taki islam straszny.



Halima Szahidewicz

przewodnicząca gminy muzułmańskiej w Białymstoku

Mój kawałek ziemi

Czuje się Pani bardziej Polką czy Tatarką?

Tu nie ma sprzeczności. W czasie wojny do walki szli Polacy i Tatarzy. Jeden w okopie odmawiał „Ojcze nasz” a drugi „Al-Fatihę”. Jestem obywatelką Polski, patriotką. Ale jestem też Tatarką. Ci, którzy to różnicują, są chyba ludźmi złej woli. Bo to, że uszanują swoją tożsamość nie znaczy, że muszą nie szanować pani tożsamości. Nie lubię słowa „tolerancja” bo to oznacza, że się coś toleruje, a między religiami musi być współzycie, współpraca i dialog. I to nie znaczy, że mamy się przekonywać, że czyjaś religia jest lepsza. Po prostu pani przedstawia swoje zasady a ja swoje. I one najczęściej są podobne. Współpracujemy tam, gdzie są zbieżne, ale też po-

zostawmy dla każdej religii sferę sacrum.

Koran mówi, by inne religie szanować, ale to nie znaczy, że wśród naszych czy waszych nie ma fanatyków. I na to trzeba uważać. Bo fanatyzm w sensie, że swoje wyznanie szanuję i innego nie przyjmę, jest do zaakceptowania. Ale gdy mówi, że tylko moje jest najlepsze, zaczyna być groźny.

Wspomnę tu o dżihadzie. Kojarzy się go tylko z wojnami, militariami, a tymczasem jest to przede wszystkim walka z przywarami. Moim dżihadem jest dobre wychowanie dzieci – na dobrych muzułmanów, ale też na patriotów. Uczę je naszej tradycji, ale i poszanowania ojczyzny. Bo jest powiedziane, że mam dbać o swój kawałek ziemi, a moim kawałkiem jest Polska.

Porozumiewacie się państwo między sobą po polsku czy po tatarsku?

Po polsku. W Białymstoku jest tylko jedna osoba – pani Klara Janglajew – która zna tatarski. Nie wiem, czy ktoś jeszcze mówi w tym języku.

Tatarzy przyjeżdżali tu sami, bez rodzin. Żenili się więc ze Słowiankami – Polkami lub Białorusinkami. Ale ponieważ byli wojskowymi i rzadko bywali w domu, nie miał kto uczyć ich żon i dzieci tatarskiego. Tak stracili swój język.

Jak wygląda islam tatarski? Czy tak samo jak w innych krajach muzułmańskich?

Islam jest ten sam, bo Koran jest dla wszystkich jednakowy. Jedyne różnice między modlitwami wygląda →

inaczej u nas niż u muzułmanów z krajów arabskich. Ale kraje arabskie między sobą też się różnią tradycją, zwyczajami, kuchnią itd. W Polsce jest prawie czterdzieści milionów ludzi, z czego cztery tysiące to Tatarzy. Kropla w morzu. Przez wzgląd na otoczenie dostosowujemy się. Wprawdzie na święta Wielkanocne nic nie przygotowuję, ale też tego dnia nic nie robię. Odpoczywam. I to nie tylko ze względu na sąsiadów, ale w ogóle na szacunek wobec innej religii. W Boże Narodzenie zaś w niektórych domach, jeśli są małe dzieci, stawia się



Fot. Bronisław Murawski, Szwadron tatarski; Nowowilejka (1926r.).

choinkę, aby dziecko nie biegało do sąsiadów i pytało, dlaczego oni mają, a u nas nie ma. Zresztą to w pewnym sensie i dla nas są święta, z tego względu, że są to dni wolne od pracy, odwiedza się krewnych, wyjeżdża gdzieś. I to jest święto dlatego, że wszyscy są razem. Faktem jest, że my, tu w Polsce, przez wiele lat nie mieliśmy raczej łączności z terenami muzułmańskimi, w związku z czym powstały pewne naleciałości.

Jakie to były naleciałości?

Chodzi o zwyczaje. W latach osiemdziesiątych do Polski przybyli studenci z krajów arabskich. Uważali, że lepiej od nas znają zasady wiary. Na przykład: jednostką czasu modlitwy jest rekjat, czyli odstęp, w jakim powtarzają się kolejne modlitwy. Tatarzy modlili się dość długo, bo około siedmiu, ośmiu rekjatów. Ci studenci, natomiast, często już po dwóch rekjatach wychodzili, bo uważali, że tyle wystarczy. To tak samo, jak w kościele – jeden przyjdzie, odmówi „ojcze nasz” i wyjdzie, inny zaś zostaje na całą mszę albo jeszcze dłużej.

Unormowaliśmy te sprawy w taki

sposób, że po pewnej części modlitwy była przerwa – oni mogli wówczas wyjść, a myśmy zostawali dłużej.

Poza tym zarzucano nam, że nie odmawiamy w ciągu dnia wszystkich modlitw. A myśmy pracowali, więc nie zawsze były warunki do tego, by się pomodlić. Zresztą w ciągu dnia jest taki przedział czasowy, kiedy można odrobić zaległą modlitwę. A jeśli z jakichś przyczyn jest to niemożliwe, to też nie się nie stanie. Bo to nie modlitwa stanowi o religii. Najważniejszy jest styl życia. Ten, kto modlitwy nie popiera czynem, nie jest prawdziwym muzułmaninem.

Miano też nam, kobietom, za złe, że chodzimy bez chustek, podczas gdy jest powiedziane, że kobiety mogą się ubierać dowolnie, byle ich ubiór był skromny. Większość naszych pań chodzi w spodniach i tunikach, albo długich spódnicach. Ale młode osoby chodzą już w krótszych spódniczkach, czasem też w bluzkach z krótkim rękawkiem. Jednak do modlitwy wszyscy stawiają się przepisowo ubrani. Gościliśmy muftich różnych krajów – Libanu, Bośni, Rosji – i nikt nie stwierdził, że nasze praktyki odbiegają w jakiś sposób od tego, jak jest w innych krajach.

Tak naprawdę to Polki, które przeszły na islam, stały się ortodoksyjnym odłamem tej religii. Chodzą ubrane jak typowe Arabki. A przecież islam to nie tylko Bliski Wschód.

Czy spotyka się Pani z nietolerancją wobec siebie?

To są sprawy incydentalne. Czasem w autobusie komunikacji miejskiej ktoś na mnie zwróci uwagę, bo mam inny typ urody, czasem coś powie. Ale generalnie tu nigdy nie było takich problemów. Zresztą na Białostocczyźnie zawsze był kalejdoskop wyznaniowy. Tu byli Litwini, Białorusini, Tatarzy, więc i wyznania były różne. Można było spotkać baptystów, świadków Jehowy, katolików, prawosławnych, muzułmanów. Moja rodzina nigdy nie ukrywała ani tego, że jesteśmy Tatarami, ani tego, że jesteśmy muzułmanami. Nauczylismy się współżyć z innymi wyznaniem. Gdy byłam młoda, często odprowadzałam córkę sąsiadki do Kościoła, gdy jej matka z jakiegoś powodu nie mogła tego zrobić. Czasem wchodziłam do środka. Byłam nauczona, jak mam się zachowywać, by nie przeszkadzać w modlitwie ani nie naruszyć swoich zasad. Czasem jednak czekałam na zewnątrz. Pod tym względem możemy, tu w Pol-



Fot. Strój tatarski – dziewczyna z zespołu „Buńczuk”.

sce, stanowić wzorzec dla innych krajów. Pokazujemy, że różne religie i narodowości mogą istnieć w zgodzie obok siebie. Koran wyraźnie mówi, że należy uszanować każdego człowieka, nawet niewierzącego, jeśli on dobrze postępuje. My staramy się tak postępować i tak wychowywać nasze dzieci.

Czy u Tatarów jest podobnie jak u Żydów, że tylko urodzony z matki Tatarki jest uznawany za Tatara?

Nie. Zasadniczo ojciec powinien być Tatarem, bo to on przekazuje religię. Ale bywa inaczej. Są małżeństwa mieszane, gdzie nie dochodzi do przejścia na nasze wyznanie.

A powinno do tego dochodzić?

Jest to wskazane, ale życie jest życiem. Najczęściej małżeństwa to ustalają i idą w jedną albo w drugą stronę. No a jeśli nie, to decydują, w jakiej religii wychowują dzieci. Wyznanie małżonka →



Fot. Bohoniki. Lata 50.

jest jednak szanowane i respektowane. Zresztą muzułmanka, wychodząc za mąż, może przejść na chrześcijaństwo. Nie jest to może najlepiej widziane, ale jako kobieta ma obowiązek pójść za mężem.

A mężczyzna-muzułmanin może przejść na wiarę żony?

Nie powinno tak być, bo to żona powinna pójść za nim. Ale bywa i tak. Chociaż najczęściej jest tak, że w czasie ślubu w kościele ktoś go zastępuje. Wtedy, choć ślub jest chrześcijański, to mężczyzna pozostaje przy swojej wierze.

I nie bierze udziału we własnym ślubie?

W takim wypadku nie.



Fot. Modlitwa w meczecie w Bohonikach – imam Konstanty Szczęsnowicz.

A jednak był czas, gdy Tatarzy masowo zmieniali wiarę.

To nie dlatego, że chcieli. W dawniejszych stuleciach wsie były przymusowo chrystianizowane. Później z kolei w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych, siedemdziesiątych XX wieku z powodu „inności” nie można było znaleźć pracy. Musieli więc zmieniać wiarę, żeby zapewnić rodzinie byt.

W pewnym okresie Tatarzy musieli też przyjąć nazwiska.

Tak było do około XVI wieku, przyjmowali je albo od przewartwiska, albo od imienia. Niekiedy przyjmowali po prostu nazwisko żony. Po drugiej wojnie światowej, w czasie repatriacji imiona tatarskie też bardzo często spolszczano. Moja rodzina pochodzi spod Lidy i gdy przeprowadzaliśmy się tutaj, Rosjanie nie chcieli nas przepuścić. Twierdzili, że skoro jesteśmy Tatarami, to powinniśmy jechać do Tatarstanu. Więc mój ojciec wpadł na pomysł, by nam pozmienić imiona. Ja mam na imię Halima, moja siostra – Aisza, brat – Emir, ale zostaliśmy zapisani jako Halina, Ewa i Mirosław. I teraz znajomi różnie nas nazywają, w zależności od tego, z jakiego okresu naszego życia są to kontakty.

W tej chwili najczęściej nadaje się imiona podwójne. Pierwsze imię tatarskie, a drugie polskie. Gdy dziecko jest małe, chodzi do szkoły, to czasem inne dzieci je przezywają, więc woli używać imienia polskiego. Ale gdy dojrzewa, chce być oryginalne, to wraca do tatarskiego.

Woli Pani być nazywana Halimą czy Haliną?

Mnie jest to obojętne. Ja wiem, kim jestem. To raczej kwestia tego, za kogo wy mnie uważacie.

Rozmawiała: **Aleksandra Ślósarska**
(Wywiad jest przedrukem, ukazał się w tygodniku „Przegląd”, nr 24/2006).

REPORTAŻ Kamienie z nieba

Jest rok 1827, początek maja. Okolice Fast. Knyszyn. W ogrodach i na polach pracują ludzie, włościanie. Pochyleni, zgarbieni, przytłoczeni własnymi problemami; biedą w zagrodach, chorobą dzieci, może nieraz i głodem, bo to przecież przednowek. I nagle, w ten biały, wiosenny dzień daje się słyszeć straszliwy świst, potem huk, błysk. Potem jeszcze dym i serię wybuchów. Chłopi zatrwożeni zamierają w bezruchu. Co bardziej wierzący pewnie robią znak krzyża... Koniec świata?

Trzeba było światlejszych umysłów, by wiedzieć, że stała się rzecz niezmiernie rzadka, na wielką historyczną skalę. Tego bowiem dnia, w 1827 roku na łąki w okolicach Białostoczczyzny spadł deszcz meteorytów.

Z tego zdarzenia zachowały się relacje w ówczesnej codziennej prasie, a to za sprawą profesora fizyki, Jana Wolskiego, pracującego w słynnym wtedy Gimnazjum Białostockim. Po kilku dniach, dowiedziawszy się o tym niezwykłym wydarzeniu, pojechał on do Fast z grupą swoich najlepszych uczniów, dotarł do naocznych świadków, porozmawiał z nimi, po czym zebrał ich relacje i opublikował. Znaleźć je można w „Dzienniku Wileńskim” i w „Kurierze Wileńskim” z 1827 roku. Pisał tak: „Gdy po większej części mieszkańcy Fastów zajęci byli wybieraniem warzywa w ogrodach dała się słyszeć nagle wielka eksplozja w powietrzu i zaraz wiele innych powtórzonych, jakby wystrzałów karabinowych, co zwróciło uwagę obecnych na ogrodach i w różnych miejscach na polu pracujących ludzi. Potem nastąpił mocny świst połączony z dźwiękiem ciał szybko spadających i silne uderzenie w kilku miejscach o ziemię. Zjawienie się to zatrwożyło na czas niejaki ludzi, ale po przejściu przestachu, kiedy jeden z nich odważył się zbliżyć na miejsce spadku i podjął kamień czarny i ukazał skupionemu ludowi, ten, ośmielony, rozbiegł się na inne przez podnoszący się pył zanotowane miejsca i poznajdował kamienie w następującej kolej...” – i tu znajduje się długa lista znalazców, wymienionych bardzo szczegółowo z imienia i nazwiska. Znalezione kawałki trafiały do rąk różnych osób, ulokowanych coraz wyżej w hierarchii społecznej. W efekcie w Polsce nie zostało z tego bardzo cennego meteorytu prawie nic. Wszystko co mamy, to odrobina proszku, zaledwie trzy i siedem dziesiątych grama, w Muzeum Ziemi w Warszawie. Reszta rozeszła się po świecie: są kawałki w Petersburgu, w Berlinie, Kijowie.

Współczesny historyk, profesor Jan Trynkowski zafascynowany ziemią białostocką, dotarł do niemal wszystkich relacji dotyczących Meteorytu Białostockiego. Dla uczonych tamtego czasu było to wydarzenie niezwyklej wagi. Przede wszystkim dlatego, że jeszcze kilka lat wcześniej, przed spadkiem Meteorytu Białostockiego, nie wiadano, skąd tak naprawdę biorą się meteoryty. Jan Trynkowski cytuje notatkę wielkiego uczonego Jędrzeja Śniadeckiego:



– „Cztery są o początku kamieni meteorycznych domysły. Jedni uważają je za wulkaniczne wyrzuty, inni za ciała utworzone w samym powietrzu, czyli za osady. Są tacy, co je uważają za ciała wyrzucone z księżycowych wulkanów, które dostawszy się w obręb atrakcji ziemskiej upadać na nią muszą. Inni na koniec mają je za bryły rozrzucone w przestrzeni, krążące sposobem planet koło słońca, które to bryły spotkawszy się w obrocie swoim z naszym [sic.!] planetą ulegają przemocy jego atrakcji i w atmosferę wpadają”.

Tomasz Krawczuk, mieszkaniec Knyszyna, tak wspomina swoje pierwsze doświadczenia z meteorytami:

– Podczas okupacji niemieckiej, jako dziecko, chodziłem z ojcem na pola zbierać kamienie na budowę dróg. Niemcy nałożyli na mieszkańców tych okolic obowiązek dostarczenia „kontyngentu” kamieni, bo szosy były im potrzebne do transportu żywności i broni na front. Wszyscy więc, dorośli i dzieci, szukaliśmy tych kamieni gdzie tylko się dało, bo w przeciwnym razie groziło więzienie albo jeszcze coś gorszego. I pamiętam, że kiedyś podniosłem z pola kilka takich czarnych brył i podałem ojcu. Ten jednak wytrącił mi je z rąk mówiąc, że takich kamieni zbierać nie wolno, bo one nie nadają się do budowy dróg. Są za miękkie. Rzeczywiście – kruszyły się łatwo. A za taki „budulec” Niemcy też mogli surowo ukarać.



Fot. Meteoryt.

Okazuje się, że choć na kawałki Meteorytu Białostockiego trafić obecnie bardzo trudno, to jednak jest to możliwe. Wystarczy tylko uważnie patrzeć pod nogi. Elżbieta Słowikowska, również mieszkanka Knyszyna, od lat w wydeptuje ścieżki w różnych naukowych instytucjach i organizacjach, by potwierdzić autentyczność kamienia trzymanego w swoich zbiorach. Wiele lat temu dwie duże bryły znalazł na polu jej ojciec. Wyglądały interesująco, nietypowo, więc przyniósł je do domu.

– Jednak nie miał pomysłu co to jest i co można z tym zrobić – mówi Słowikowska. Rzucił więc do szopki i tak przeleżały kilkanaście lat. Kiedy dorosłam i je znalazłam dotarło do mnie, że to może być właśnie odprysk tamtego słynnego meteorytu z początku XIX wieku. Oczywiście, nigdy nie łączyłam siebie i jakiegoś meteorytu, że ja to będę miała. Ktoś tam, gdzieś tam, o, na takiej zasadzie. Natomiast jakie są meteoryty, jak się dzielą, na jakie grupy, z czego się składają? To mnie nie interesowało, bo mnie nie dotyczyło. A teraz siłą rzeczy, żeby coś zrozumieć, pojąc, co to jest meteoryt, musiałam się dowiedzieć, przeczytać. A łatwiej mi było o tyle, że mam jakieś skały, które odpowiadają opisom. Proszę spojrzeć: czyż nie wygląda to imponująco?

Elżbieta Słowikowska otwiera szafę sporych rozmiarów, w której na półkach leżą dziesiątki kamieni i skał o różnych rozmiarach i kolorach. Widać, że kolekcja była zbierana przez wiele lat. Nie wszystkie egzemplarze są naturalnie meteorytami. Te leżą na najwyższej półce, owinięte w papier i folię. Pani Słowikowska wyjmuje je ostrożnie. Odwija zawiniątko...

– Wszystko jest takie skryto krystaliczne. Nie widać tu

nic. „To” żyje, lśni, błyszczący i mieni się kolorami tęczy dopiero pod mikroskopem. To jest brzydkie, ciemne, jakieś takie szarobrunatne, prawda? Natomiast po ukruszeniu na mniejsze kawałeczki, (bo musi pani wiedzieć, że to się dosyć łatwo kruszy, aczkolwiek jest to twarde) to jest bardzo ciekawe. Ma w sobie dużo różnych minerałów, co potwierdziła analiza chemiczna i oględziny mikroskopowe przeprowadzone przez specjalistów.

Niestety, pani Słowikowska wciąż nie wie, czy jest to meteoryt. Badania, które potwierdziłyby jej nadzieje są horrendalnie drogie. Żadnego polskiego zakładu naukowego nie stać na ekspertyzy. Chyba że pani Elżbieta zapłaci z własnej kieszeni. Ale to w grę nie wchodzi. Żyje z renty. Ma dzieci. Pracuje tylko mąż. Dlatego już nawiązała kontakt z kilkoma ośrodkami zagranicznymi. Gdzie? Ano, w Moskwie, w Szwajcarii, w Niemczech. Proszą o próbki. Na razie pani Słowikowska zastanawia się, czy je wysłać. W końcu kawałki, które ma nie są wcale takie duże, nie można ich w nieskończoność kruszyć. Może lepiej zawiezie osobście? Chyba warto, bo jeśli się potwierdzi (a jest pewna, że tak) to koniec życia w niedostatku. Taki meteoryt to prawdziwy skarb! Każdy uniwersytet czy muzeum ziemi chciałoby mieć choć jego odrobinę w swoich zbiorach.

Profesorowi Trynkowskiemu udało się w archiwach znaleźć jeszcze jedną relację dotyczącą Meteorytu Białostockiego:

– Mianowicie jeden z uczniów Gimnazjum Białostockiego w owym czasie, Julian Albin Moszyński, opisując swoją wizytę w gabinecie meteorologicznym Uniwersytetu w Berlinie, pisze tak: „Wzruszony mocno zostałem. Wśród mnóstwa ciał kopalnych spostrzegłem, zbliżywszy się do kamieni meteorycznych, napis na jednym: „Białystok, rok 1827”. – Co to za kamień? – pytam. – A to – odpowiada dozorca gabinetu – kamień meteoryczny. Otrzymaliśmy ten kawałek z Uniwersytetu Wileńskiego. Iskra elektryczna przebiegła w tej chwili całe jestestwo moje! Myśl nagle uleciała do Białegostoku. Była to cząstka tego samego kamienia, któryśmy znaleźli na polach pod Fastami o milę od Białegostoku. On mi przypomniał miejsce i kolegów, towarzyszyów prac szkolnych”. Był to jeden z tych samych nielicznych uczniów, którzy w 1827 roku z profesorem Wolskim szukali odprysków meteorytu na knyszyńskich polach.

– To się zdarza – mówi Elżbieta Słowikowska. – Wszędzie na świecie spadają meteoryty. One spadają częściej niż ludzie sobie wyobrażają! Z tym, że większość nie dolatuje do samej ziemi, pod nogi nam. Ale są takie, które potrafią narobić sporo szkody.

– Wszystko jest możliwe, wszystko jest możliwe. Nigdy więc nie wiadomo, co kiedy komu może spaść na głowę... – konkluduje Tomasz Krawczuk.

Agnieszka Kamińska

(Autorka jest dziennikarką Polskiego Radia Białystok).

T O N I E J E S T



Fot. Puszcza Białowieńska.

Obszar Puszczy Białowiejskiej ukształtował się podczas zlodowacenia środkowopolskiego. Pierwsze pionierskie rośliny: porosty, mchy, trawy, brzozy i sosny pojawiły się tutaj 12-10 tysięcy lat temu. Prapuszczca powstała 6 tysięcy lat temu, gdy jej obszar porosły dęby, lipy, olchy, graby i świerki. Ogarnęła teren od Karpat do Bałtyku. Mijały wieki, człowiek karczował lasy, zdobywając drewno i żyzne ziemie pod uprawę. Po prapuszczcy pozostała tylko cząstka.

Puszcza Białowieńska zajmuje 150 tys. ha, z czego 62,5 tys. ha znajduje się w Polsce, a pozostała część na Białorusi. Po stronie polskiej tylko 10,5 tys. ha puszczy chroni najstarszy w Polsce Białowiejski Park Narodowy (od 1921 r.). Po stronie białoruskiej cała puszcza to park narodowy Białowieżska Puszcza (od 1991 r.). Wielkimi obrońcami i badaczami puszczy byli Józef Paczowski, Jan Karpiński i Władysław Szafer.

W 1977 roku Białowiejski Park Narodowy uznany został przez UNESCO za Światowy Rezerwat Biosfery, a w 1979 r wpisany został na listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego. W granicach parku znajduje się: rezerwat ścisły, Park Pałacowy z muzeum przyrodniczym i zabytkowymi budynkami, Ośrodek Hodowli Żubrów. Na rozległej polanie Puszczy Białowiejskiej w XVII wieku powstała osada Białowieża, która obecnie jest ośrodkiem naukowym i turystycznym.

Wyjątkowość Puszczy Białowiejskiej to jej pochodzenie i ciąg istnienia, nienaruszony ręką człowieka. Naturalna selekcja i konkurencja kształtuje las, który rządzi się swoimi prawami. Każdy z tysięcy żyjących tu gatunków ma swoje miejsce, znaczenie i nawzajem od siebie zależy. Olbrzymią rolę w puszczy odgrywają, obumarłe wskutek działania wiatru, pasożytniczych grzybów i rzeszy owadów, najsłabsze lub najstarsze drzewa. W rozkładającym się drewnie powstają mikrośrodowiska życia tysięcy roślin i zwierząt bezkręgowych. Substancje organiczne, powstające w czasie rozkładu drewna, trafiają do gleby i wykorzystywane są przez kolejne pokolenia lasu. Puszcza daje sobie radę z różnymi kataklizmami (wiatrołomy, kornik). Różnorodność form, zmieszanie gatunków i bogactwo świata roślin i zwierząt sprawia, że Puszcza Białowieńska jest unikalną wartością całej ludzkości.

... przez tysiące lat odradza się ze swych przodków, sama z siebie, rosnąc w potężne wielowiekowe dęby i sosny, delikatne zioła i krzewy. Daje życie tysiącom gatunkom różnych istnień. Jedyna i ostatnia taka puszcza w Europie – Puszcza Białowieńska

Teren Puszczy Białowiejskiej jest równinny. Zależnie od poziomu wody i żyzności gleby puszcę tworzy mozaika naturalnych środowisk. Dominującymi zbiorowiskami puszczy są najszlachetniejsze, wielogatunkowe lasy, tzw. grądy. Porastają one żyzne gleby brunatne, o podłożu gliniastym, utrzymującym wilgotność poszycia. Wraz z dorastającymi do 50 metrów wysokości świerkami, najwyższe piętro grądu tworzą 40 metrowe dęby, jesiony i lipy. Zielony dach lasu tworzą korony klonów, wiązów, brzoź i olsz. Najniższe piętro drzewostanu tworzą młode pokolenia drzew, a także krzewy leszczyny i trzmieliny. W poszyciu grądu tłoczno jest od bujnych traw, paproci, pokrzyw, skrzypów, turzyc i różnych gatunków bylin. Grąd przepelnia zieleń, ale zanim na wiosnę rozwiną się liście drzew i krzewów, nadchodzi najbarwniejszy czas życia lasów liściastych Puszczy. Rozkwitają przylaszczki, kokorycze, miodunki, zawilce, czosnek niedźwiedzi, gwiazdnice wielkokwiatowe, zdrojówki rutewkowate, jaskry kaszubskie, łuskiwnik różowy. Tak właśnie wyglądały przed wiekami lasy większej części Europy. Obecnie w lasach Polski ponad 70 procent drzew stanowią drzewa iglaste, w Puszczy Białowiejskiej drzew iglastych jest tylko 30 procent.

Suche tereny puszczy porastają bory mieszane – wiekowe sosny, świerki, dęby, osiki, brzozy i graby, a w runie występuje roślinność grądowa i borowa jak siódmaczek leśny, borówka czarna i borówka brusznica. Ubogie gleby porasta w puszczy bór sosnowy i świerkowy. Torfowiska zasiedlają bory bagiennie, złożone z sosen i brzoź, w warstwie runa występuje, m.in. borówka bagienna, bagno zwyczajne, żurawina błotna i wełnianka pochwowata. Doliny puszczańskich rzek i strumieni porastają lasy łęgowe, gdzie głównymi gatunkami drzew są olsza i jesion, z dominującą w warstwie krzewów czeremchą zwyczajną. Na terenach zabagnionych rosną olsy, w skład których wchodzi głównie olchy czarne i wierzyby.

W puszczy rosną drzewa o niespotykanym gdzie indziej pokroju, wieku i rozmiarach. Wiek dębów dochodzi do 500, sosen do 350, świerków do 300 lat. Największy 350-letni jesion ma 43 metrów wysokości, najstarsza sosna ma 360 lat, najwyższa 43-metrowa lipa ma w obwodzie 5 metrów, dąb 43 metrów wysokości i 7 metrów obwodu. W puszczy występuje 1200 gatunków roślin naczyniowych, wśród nich: →

Z W Y K Ł Y L A S

kosaciec syberyjski, orlik pospolity, lilia złotogłów, pełnik europejski, 12 gatunków storczyków i ponad 3000 gatunków grzybów.

Świat zwierząt Puszczy Białowieskiej liczy około 25 tysięcy gatunków, wśród których najliczniejsze są bezkręgowce (10 tysięcy, w tym 8,5 tysięcy owadów). Bogaty jest świat płazów (m.in. ropuchy, traszki, kumak nizinny) i gadów (m. in. żółw błotny, jaszczurka żyworodna). W puszczy żyje 250 gatunków ptaków, wśród nich wiele osobliwości: jarząbki, cietrzewie, krogulce, 9 gatunków sów, m.in. puchacz, sóweczka (zimną pojawia się sowa śnieżna), 8 gatunków dzięciołów (wśród nich dzięcioł trójpalczasty), bocian czarny, muchołówka białoszyja, strumieniówka. Puszcza jest jedynym w kraju miejscem gniazdowania gadożera. W puszczy występują 54 gatunki ssaków. To świat żubrów, jeleni, rysi, wilków, dzików, wydr, bobrów, koszatek, popielic, ryjówek białowieskich, smużek (jedne z nielicznych gryzoni odżywiających się wyłącznie pokarmem zwierzęcym), rzęsońców rzecznych – jedynych jadowitych ssaków na kontynencie europejskim.

Białowiecki Park Narodowy chroni tylko 15 procent powierzchni Puszczy Białowieskiej. Na pozostałym obszarze prowadzona jest gospodarka leśna, wyręb puszczy trwa. Przybywa turystów, hoteli, na naszych oczach ostatnią w Europie pierwotną puszcę zamieniamy w gospodarczy las. Ginie życie puszczy, ubożeje świat. Grono obrońców puszczy, a wśród nich prof. Simona Kossak, prof. Ludwik Tomiałojć, prof. Tomasz Wesołowski walczą o otoczenie całej puszczy ochroną, by nie umarła i trwała w swej świetności. Czy zdążymy?



Fot. Drugie życie drzewa.

O Puszczy Białowieskiej pisali, m.in.: Faliński Z., Hereźniak J.: „Zielone grądy i czarne bory Białowieży”, Warszawa, 1977; Walencik J.: „Tętno pierwotnej puszczy”, Warszawa, 1997; Okołów Cz., Okołów G.: „Białowiecki Park Narodowy”, Warszawa, 2000; Kossak S.: „Saga Puszczy Białowieskiej”, Warszawa, 2001.

Oprac. Anna Worowska

ŚWIAT PATRZY

Fragmety wywiadu z prof. Tomaszem Wesołowskim, pracownikiem Zakładu Ekologii Ptaków Uniwersytetu Wrocławskiego, prowadzącym od 30 lat badania w Puszczy Białowieskiej; opublikowane na łamach „Dzielnego życia”, nr 12 i 1 2005/06, wywiad przeprowadził Grzegorz Bożek.

(...) Puszcę Białowieską określił Pan mianem żywego muzeum ewolucji.

T. W.: Tak, ponieważ jest to miejsce, gdzie możemy wejść i zobaczyć las ukształtowany bez udziału człowieka. W ten sposób możemy odbyć wycieczkę w przeszłość, zobaczyć Europę po okresie lodowcowym, ale jeszcze przed skolonizowaniem jej przez rolników. Wtedy las tak właśnie wyglądał. I możemy zobaczyć wszystkie zależności, które tam wtedy obowiązywały. Las ten nazwałbym muzeum ewolucji. W tropikach znajdziemy jeszcze wielkie obszary lasów zachowujących cechy pierwotne, podobnie w tajdze, zaś w strefie umiarkowanej nie ma już drugiego takiego miejsca jak Puszcza Białowieska. Została, niestety, już tylko ona...

Na czym polega wyjątkowość Puszczy dla świata nauki i kultury?

T. W.: Dla nauki jest to jedyne laboratorium, jest ono niemożliwe do zastąpienia i bezcenne. Jeśli kosztujący miliardy akcelerator w laboratorium fizycznym zostałby z jakiegoś powodu zniszczony, to jego odtworzenie jest kwestią czasu i wyłożenia kolejnych kilku miliardów.... Jeśli stracimy Puszcę, stracimy ją na zawsze.

Pięć tysięcy lat temu ten las nie był wyjątkowy. Był normalnym lasem, który porastał połowę Europy. Ale teraz, ponieważ jest to ostatni fragment takiego lasu, stał się bezcenny. Nie ma pieniędzy, środków i technologii, które – gdybyśmy go zniszczyli – pozwoliłyby nam go odtworzyć.

Pytany o to, jaki jest pożytek z Puszczy Białowieskiej dla kultury, odpowiadam pytaniem, a jaki jest pożytek z Wawelu, Filharmonii Narodowej czy z języka polskiego? Przecież dzisiaj wszyscy powinni mówić po angielsku, to by bardzo wiele uprościło. Jednak zarówno język, jak i Wawel stanowią wyznaczniki naszej tożsamości. Każda społeczność – by istnieć – musi dzielić pewne wartości i symbole, wyróżniki podtrzymujące wspólnotę, rzeczy, z których jako społeczność jesteśmy dumni. Otóż Puszcza Białowieska należy do tej samej kategorii. Tyle tylko, że nie jest to twór zrobiony ręką człowieka, chociaż jest to jednak pomnik. Pomnik pewnego podejścia do przyrody. Nie zapominajmy bowiem, że Puszcza istnieje tylko dlatego, że kilkaset lat temu władcy Polski, a później Rosji, świadomie zainwestowali w jej ochronę. Motywy ich działania były głównie prestiżowe (możliwość zapolowania na grubego zwierza), ale i dzisiaj Puszcza mogłaby stać się również elementem prestiżowym dla kraju, moglibyśmy być naprawdę dumni, że ochroniliśmy ten wspólny las. (...)

Dlaczego całą Puszcę Białowieską trzeba objąć ochroną?

T. W.: Ważne są kwestie biologiczne. Wszystkie procesy, o których przed chwilą mówiłem, wymagają





odpowiedniej skali przestrzennej, nie można ich zamknąć w akwarium, w jakimś rezerwacie. Bo jeśli wszystko dookoła niego zmienimy i zostanie on jedynie wyspą zanurzoną w morzu plantacji, to jest to obszar zbyt mały, by odpowiednie procesy przyrodnicze mogły funkcjonować. Nie zmieści się w nim nawet jedna wataha wilków czy jeden areal rysia. Nawet dla niewielkich ptaków, rezerwat ścisły dostarczy miejsca dla zaledwie 30 par. Tak małe populacje nie są w stanie przetrwać w dłuższej perspektywie. Podobnie będzie z wieloma innymi organizmami, procesami, o których mamy znacznie mniejszą wiedzę. Jeśli ochrona ma być skuteczna, obszar ochrony musi być dostosowany do skali procesów.

W Białowieskim Parku Narodowym chroniony przed ingerencją człowieka jest jedynie obszar rezerwatu ścisłego, cała reszta polega na ochronie czynnej, tj. poprawianiu przyrody piłą i siekierą, dostosowaniu składu gatunkowego do wymyślonych przez człowieka norm, według których większość lasów rezerwatu ścisłego jest „niezgodna z siedliskiem”. Mówię to, żeby pokazać absurdalność myślenia i „ochrony”. Wszędzie poza rezerwatem ścisłym taka niezgodność z siedliskiem stanowi podstawę do interwencji. W ramach tzw. trzebieży późnej można było np. wyciąć dwustuletnie dęby...

Co spowodowało, że pomimo wieloletnich starań Puszczy nie udało się objąć pełną ochroną?

T. W.: Jest to konsekwencja tego, co dzieje się w lasach i generalnie w większości parków narodowych. A to co tam się dzieje, nie ma zbyt wiele wspólnego z ochroną przyrody. Jest to typowa gospodarka leśna, tylko trochę mniej intensywna. Zaprzestanie tych praktyk jest bardzo łatwe, wymaga tylko woli politycznej, wydania przez ministra odpowiednich decyzji. Plany urządzania lasu i plany ochrony parków narodowych zatwierdza minister i on jest również władny je zmieniać, nie wymaga to zmian w ustawach. Trudne jest jedynie to, żeby ministra przekonać, aby chciał mu się to zrobić. (...)

Co jest głównym grzechem człowieka wobec przyrody?

T. W.: Trudno powiedzieć, bo człowiek jest częścią przyrody, choć o bardzo silnym wpływie na inne jej elementy. Jako biolog nie mogę powiedzieć, że człowiek jest poza przyrodą, bo jest to nieprawda. Jesteśmy jednym z milionów żyjących obecnie gatunków, pod wieloma względami jednak jakościowo różnym. Problem polega na tym, że jesteśmy w stanie wywierać nieproporcjonalnie wielki wpływ na inne gatunki, zmieniać sytuację w skali globalnej. Ważne jest, by odpowiedzieć sobie na pytanie – jaką siłą tych oddziaływań glob wytrzyma, również w kontekście niepodcinania gałęzi, na której się siedzi. Presja człowieka wzrasta, gdyż ciągle wzrasta zarówno liczebność ludzi, jak i konsumpcja przypadająca na jednego człowieka. Tak więc nie dość, że mamy coraz więcej ludzi, to chcą oni zużywać coraz więcej, a najlepiej tyle, ile w Ameryce. (...)

Czym jest dla Pana dzika przyroda? Czy ma jakieś szczególne znaczenie?

T. W.: Jest wartością samoistną, niezależną od jej użyteczności dla człowieka. Ponieważ wyrosliśmy z dzikiej przyrody, jesteśmy jej potomkami, stosunek do dzikiej przyrody jest czymś podobnym do relacji dzieci wobec rodziców. Podobnie jak rodzicom, przyrodzie należy się szacunek i, w miarę potrzeby, opieka, nie zaś zniszczenie.

Na bardziej egoistycznym poziomie przyroda dostarcza mi wielu przyjemności. Jej poznawanie, próby zrozumienia zachodzących w niej zjawisk, dostarczają niesamowitej frajdy intelektualnej, obserwacja przyrody uczy też cierpliwości i pokory. (...)

Najnowsza książka Wiesława Myśliwskiego „Traktat o łuskaniu fasoli” ukazała się w maju tego roku, w 10 lat po poprzedniej, po „Widnokregu”. Nie znajduje się na liście najlepiej sprzedawanych książek, ale można było usłyszeć wiele entuzjastycznych opinii na jej temat.

Ta obszerna 400-stronicowa powieść to monolog bohatera skierowany do nieznanego przybysza – bilans jego całego życia, od okresu przedwojennego do czasów obecnych. Monolog trwa w trakcie wspólnego łuskania fasoli – zwyczaju z dawnych lat, kiedy równocześnie z łuskaniem fasoli, w którym uczestniczyły kobiety i mężczyźni, dzieci i starcy, prowadziło się rozmowy na wszystkie możliwe tematy dotyczące zdarzeń bieżących i minionych, wszelkich doświadczeń i przemyśleń, mędrkowało się i filozofowało.

Kim jest bohater powieści?



To prosty człowiek, syn chłopca osierocony w czasie wojny, po okrutnej eksterminacji wsi, w której mieszkał. Po okresie młodościowych złudzeń, przyuczony do zawodu elektryka w hufcu pracy, po latach tułaczki na obczyźnie powraca do kraju. Wydarzenia całego życia pchały go do jednego celu. Ten wrażliwy człowiek, chciał być i został muzykiem-saksofonistą. Przez całe życie granie

na saksofonie było dla niego siłą napędową pozwalającą odnaleźć wiarę w sens życia. Na starość, nie mogąc już grać z powodu zmian reumatycznych, dogląda domków letniskowych nad zalewem. W wolnych chwilach, odnawiając tabliczki z grobów na pobliskim cmentarzu, na którym spoczywają jego bliscy i sąsiedzi wymordowani przez hitlerowców...

W najnowszej książce Myśliwskiego nic nie jest oczywiste i do końca rozstrzygnięte. Powieść jest misternie skonstruowana, przeplatające się, różnoczasowe wątki stwarzają pole do przemyśleń i interpretacji.

Po lekturze pierwszych kilkunastu stron czytelnik może odnieść wrażenie, że ma do czynienia z nudnym bajaniem nieciekawego człowieka. Tak nie jest. Mimo braku klasycznej fabuły książkę czyta się z wielkim zainteresowaniem. Narrator, używając pięknej polszczyzny, snuje swoją opowieść z wielką kulturą literacką, często przekazując głębokie filozoficzne przemyślenia, zmuszające czytelnika do odniesienia się do własnych wyobrażeń, wrażliwości i doświadczeń.

„Traktat o łuskaniu fasoli” Wiesława Myśliwskiego to niewątpliwie wybitne dzieło literackie, które mogło wyjść jedynie spod pióra człowieka o nieomylnym instynkcie pisarskim, dysponującego wielkim życiowym doświadczeniem i autentyczną mądrością.

Lech Zimnoch

(Autor jest prof. – kierownikiem Zakładu Patomorfologii Lekarskiej AMB).



Z Senatu

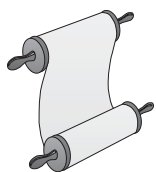
Na posiedzeniu 20 czerwca 2006 r. Senat podjął uchwały w sprawach:

- nadania tytułu *Doctor Honoris Causa* prof. dr. hab. Władysławowi Gałasińskiemu
- dodatkowego zatrudnienia jednoosobowych organów uczelni oraz ich zastępców
- powołania Komisji Egzaminacyjnej do sprawdzenia i oceny prac kandydatów na I rok studiów z tzw. „starą maturą” w roku akademickim 2006/2007
- przekształcenia Zakładu Kardiologii Inwazyjnej w Klinikę Kardiologii Inwazyjnej AMB
- zatwierdzenia Statutu Akademii Medycznej w Białymstoku
- zmian w Statucie Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego
- zmian w Statucie Samodzielnego Publicznego Dziecięcego Szpitala Klinicznego

Ponadto Senatorowie:

- pozytywnie zaopiniowali wniosek Dyrektora SPSK-a w sprawie etapowego outsourcingu usług radiologicznych świadczonych przez Zakład Radiologii AMB.

Krystyna Dyszkiewicz
Kierownik Rektoratu



Nominacje

Prezydent RP Lech Kaczyński nadał tytuł profesorski sześciorgu pracownikom naszej uczelni. Nominacje profesorskie otrzymali:



Barbara Bień

Urodziła się 6 lipca 1951 roku w Warszawie, w rodzinie lekarskiej. W latach 1969-1975 odbyła studia na Wydziale Lekarskim AM w Białymstoku, które ukończyła z wyróżnieniem. Po studiach podjęła pracę w Zakładzie Gerontologii AM w Białymstoku, kierowanym przez prof. dr. hab. Woj-

ciecha Pędicha. W 1984 roku, pod jego kierunkiem, obroniła pracę doktorską, zaś w roku 1997 uzyskała stopień doktora habilitowanego. Nominację na profesora nauk medycznych otrzymała 8 czerwca 2006 roku.

Profesor Bień w Zakładzie Gerontologii AMB pracuje na stanowisku kierownika i ordynatora Oddziału Geriatrii. Jest specjalistą w zakresie chorób wewnętrznych, geriatrii i zdrowia publicznego. W 1988 roku odbyła staż naukowy w Klinice Geriatrii i Opieki Długoterminowej Uniwersytetu w Goeteborgu, a w roku 1996 ukończyła Europejską Akademię Medycyny Starzenia w Sion w Szwajcarii.

Współpracowała z Uniwersytetem w Sheffield w Wielkiej Brytanii w ramach programu SCOPE nad Systemem Oceny Ludzi Starszych oraz COPE (Carriers of Older People in Europe) w ramach IV Programu Ramowego UE, w roku bieżącym zaś sfinalizowała trzyletni projekt badawczy Eurofamcare (Usługi Wspierające Opiekunów Rodzinnych Osób Starych) w ramach V Programu Ramowego UE. Kierowała grantem KBN, efektem którego było opracowanie monografii „Starość pod ochroną: Opiekunowie Rodzinni Niesprawnych Osób Starych w Polsce. Porównawcze Studium Środowiska Miejskiego i Wiejskiego”.

Jest autorem 230 publikacji, w tym 120 prac oryginalnych i 110 doniesień zjazdowych.

Profesor dr hab. Barbara Bień jest wieloletnim członkiem Polskiego Towarzystwa Gerontologicznego, pełniąc w ostatniej kadencji funkcję Prezesa Zarządu Głównego, oraz członkiem International Association of Gerontology (IAG). Pełni funkcję Konsultanta Wojewódzkiego w dziedzinie Geriatrii. Jest członkiem Senackiej Komisji ds. Nagród, Odznaczeń i Wyróżnień oraz Komisji Dyscyplinarnej ds. Nauczycieli Akademickich. Jako członek Rady Programowej i wykładowca współpracuje z Uniwersytetem Trzeciego Wieku w Białymstoku. Jest laureatką kilku Nagród Rektora, zaś w 1999 roku przez Prezydenta RP odznaczona została Srebrnym Krzyżem Zasługi. Jest mężatką i matką dwóch dorosłych córek.



Ewa Chabielska

Ukończyła Oddział Analityki Medycznej Wydziału Farmaceutycznego białostockiej Akademii Medycznej w 1984 roku. W latach 1984-2003 pracowała w Zakładzie Farmakodynamiki. Od 2003 roku jest kierownikiem Samodzielnej Pracowni Biofarmacji AMB.

W 1988 roku uzyskała tytuł doktora nauk medycznych

w zakresie biologii medycznej, a w roku 2000 tytuł doktora habilitowanego nauk farmaceutycznych. Jej praca habilitacyjna, jako szczególnie ważna dla nauk farmaceutycznych, została wyróżniona Nagrodą Naukową Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego. W latach 1992-1993 przebywała na stypendium naukowym w Instytucie Badań Farmakologicznych i Biomedycznych „Mario Negri Sud” we Włoszech.

Główna tematyka jej pracy naukowej obejmuje badania nad rolą układu renina-angiotensyna-aldosteron w regulacji procesów hemostazy oraz dotyczy nowych możliwości →

terapii chorób zakrzepowo-zatorowych z wykorzystaniem rekombinowanych białek o właściwościach przeciwwzakrzepowych i trombolitycznych.

Dorobek naukowy prof. Ewy Chabielskiej obejmuje 13 prac przeglądowych i 66 prac oryginalnych.

Za osiągnięcia naukowe została sześciokrotnie nagrodzona Zespołową Nagrodą Ministra Zdrowia oraz czterokrotnie Zespołową Nagrodą I stopnia Rektora Akademii Medycznej w Białymstoku.

Jest wiceprezesem Białostockiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Farmaceutycznego, członkiem zarządu Sekcji Kardiologii Eksperymentalnej Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Farmakologicznego.



Adam Krętowski

Specjalista chorób wewnętrznych, endokrynologii i diabetologii. Od 1991 roku pracuje w Klinice Endokrynologii, Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Akademii Medycznej w Białymstoku. W 2001 roku uzyskał stopień naukowy doktora habilitowanego. Odbył staże naukowe w St. Bartholomew's Hospital w Londynie, w

Department of Medicine and Immunology, University of Washington w Seattle oraz w Diabetes Branch, National Institutes of Health w Bethesda, USA. Od lipca 2005 roku przebywa jako Visiting Professor na University of Colorado w Denver, USA.

Prof. dr hab. Adam Krętowski jest autorem i współautorem 93 prac opublikowanych w czasopismach naukowych, siedmiu rozdziałów w podręcznikach oraz 85 doniesień prezentowanych na zjazdach krajowych i zagranicznych. Główna tematyka jego badań obejmuje rolę czynników immunologicznych i genetycznych w etiopatogenezie, prognozowaniu i prewencji cukrzycy typu 1 oraz genetyczne podłoże powikłań sercowo-naczyniowych u chorych na cukrzycę. Za osiągnięcia naukowe trzykrotnie otrzymał Nagrodę Zespołową Ministra Zdrowia, nagrodę im. Prof. J.W. Grotta, przyznaną przez Polskie Towarzystwo Diabetologiczne, nagrodę Polskiego Towarzystwa Endokrynologicznego oraz stypendia Endocrine Society i Fundacji Nauki Polskiej.

Jest członkiem Steering Committee of European Type 1 Genetic Consortium, recenzentem wielu międzynarodowych czasopism naukowych, m.in. Diabetologii, Diabetes Care, Diabetic Medicine, Tissue Antigens. Promotorem sześciu prac doktorskich.



Ewa Jabłońska

Ur. 23.05.1956 r., jest absolwentką Oddziału Analityki Medycznej Wydziału Farmaceutycznego Akademii Medycznej w Białymstoku. W 1985 roku rozpoczęła pracę w Akademii Medycznej w Białymstoku, w Pracowni Immunologii Kliniki Chorób Płuc i Gruźlicy, a następnie w Zakładzie Immunologii.

W 1991 r. otrzymała stopień doktora nauk medycznych w zakresie biologii medycznej, a w 1999 r. uzyskała stopień doktora habilitowanego nauk medycznych w zakresie biologii medycznej – immunologii. 8 czerwca 2006 r. otrzymała z rąk Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej tytuł naukowy profesora nauk medycznych.

Od roku 1999 pełni funkcję kierownika Zakładu Immunologii Akademii Medycznej w Białymstoku. Dorobek naukowy prof. dr hab. Ewy Jabłońskiej obejmuje 187 publikacji. Wśród 100 pozycji pełnotekstowych 35 jest indeksowanych w „Current Contents”. Głównym tematem jej zainteresowań naukowych są mechanizmy odpowiedzi nieswoistej, ze szczególnym uwzględnieniem badań funkcji neutrofilów w różnych stanach patologii. Współpracuje z wieloma klinikami i zakładami AMB.

Profesor dr hab. Ewa Jabłońska prowadzi wykłady i zajęcia fakultatywne z zakresu immunologii oraz serologii grup krwi dla studentów Wydziału Farmaceutycznego. Jest autorką obowiązującego programu nauczania serologii grup krwi i wraz z zespołem opracowała skrypt do ćwiczeń dla studentów analityki medycznej.

Była promotorem trzech przewodów doktorskich oraz kierownikiem 30 prac magisterskich. Jest opiekunem Studenckiego Koła Naukowego przy Zakładzie Immunologii.

Należy do Polskiego Towarzystwa Immunologii Doświadczalnej i Klinicznej i od 2001 roku pełni funkcję Prezesa Oddziału Białostockiego. W latach 2002-2005 była współorganizatorem konferencji „Wschodnie Spotkania Alergologiczno-Immunologiczne”.

Jej zainteresowania pozazawodowe to głównie literatura i muzyka klasyczna oraz żeglarstwo i narciarstwo.



Zofia Mariak

Jest białostoczkanką, ukończyła Wydział Lekarski AMB. Po studiach podjęła pracę w Zakładzie Histologii i Embriologii, a od 1981 r. pracowała na stanowisku asystenta w Klinice Okulistyki. Specjalizację z okulistyki, pierwszego stopnia, uzyskała w 1982 r., drugiego stopnia (z wyróżnieniem) – w 1986 r.

Tematyka jej pracy naukowej początkowo wiązała się z technikami histologicznymi. Po przejściu do Kliniki Okulistyki zajmowała się różnymi tematami o profilu klinicznym, dużo operowała. Doktorat obroniła w 1982 r. Odbyła kilkanaście szkoleń w różnych krajach Europy Zachodniej i w USA (Filadelfia i San Francisco). Aktywnie udzielała się również w dydaktyce. Organizowała liczne kursy zawodowe i szkolenia, w tym kursy z mikrochirurgii oka. Trzykrotnie otrzymała nagrodę dydaktyczną. W latach 1990-1993 była konsultantem →

wojewódzkim dla ówczesnego województwa suwalskiego. Od 1995 r. była zastępcą kierownika kliniki, a po uzyskaniu habilitacji, od marca 2001 r., została kierownikiem Kliniki Okulistyki, Dorobek naukowy prof. dr hab. Zofii Mariak obejmuje łącznie 115 publikacji w czasopismach recenzowanych, w tym 16 w czasopismach zagranicznych. Opublikowała również 110 komunikatów zjazdowych, w tym 17 na zjazdach międzynarodowych. Jest także autorką monografii. Jedenaście razy była wyróżniana nagrodą naukową Rektora I i II stopnia oraz zespołową nagrodę naukową Ministra Zdrowia.

Profesor Mariak jest aktywnym członkiem Polskiego Towarzystwa Okulistycznego, przez dwie kadencje pełniła funkcję przewodniczącej Oddziału Podlaskiego PTO. Od wielu lat udziela się w Zarządzie Głównym Towarzystwa. Należy również do pięciu sekcji Towarzystwa Okulistycznego.



Janusz Popko

Urodził się 1 listopada 1947 r. w Ełku, szkołę podstawową i średnią ukończył w Augustowie. W latach 1969-1975 odbył studia na Wydziale Lekarskim Akademii Medycznej w Białymstoku. W czasie studiów pracował w kole naukowym przy Zakładzie Fizyki Lekarskiej. Po uzyskaniu dyplomu lekarza i ukończeniu stażu

podyplomowego rozpoczął pracę w Klinice Ortopedii AMB. Uzyskał dwa stopnie specjalizacji z chirurgii urazowo-ortopedycznej i w 1982 roku został adiunktem w tej klinice. Stopień naukowy doktora nauk medycznych nadała mu w roku 1977 Rada Wydziału Lekarskiego AMB, a stopień naukowy doktora habilitowanego uzyskał w 1992 roku.

W 1989 roku rektor powierzył mu zadanie organizacji od podstaw Kliniki Ortopedii Dziecięcej. Po oddaniu do użytku części ambulatoryjnej i łóżkowej został kierownikiem tej jednostki klinicznej. Funkcję tą pełni nadal. Kwalifikacje zawodowe doskonalił w ośrodkach krajowych i zagranicznych. Ukończył kursy ultrasonografii narządu ruchu w Austrii w 1989 r. oraz w Niemczech w 2000 r. Odbył staże kliniczne w specjalistycznych ośrodkach ortopedycznych w USA w 1999 r.

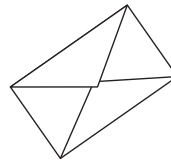
Na dorobek naukowy prof. J. Popko składa się 125 prac, część z nich została zarejestrowana przez międzynarodowe systemy bibliograficzne: Current Contents (11 pozycji) i w Medline (39 pozycji).

Obok działalności naukowej i klinicznej prof. Popko przejawia wysoką aktywność w pracy dydaktycznej i organizacyjnej. Bierze udział w nauczaniu ortopedii i traumatologii na Wydziale Lekarskim oraz na Wydziale Pielęgniarstwa i Ochrony Zdrowia. Jest promotorem sześciu prac doktorskich i opiekunem pięciu lekarzy, specjalizujących się w zakresie ortopedii i traumatologii. W latach 1999-2002 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Lekarskiego AMB oraz przewodniczącego Wydziałowej Komisji Rekrutacyjnej. Współtworzył na Politechnice Białostockiej nową i zarazem pierwszą w Polsce specjalność o nazwie: inżynieria ortopedyczna i

protetyczna. Uczestniczy w kształceniu inżynierów-mechaników, obierających tą specjalność. Aktywnie pracuje w towarzystwach naukowych. Zorganizował IV Sympozjum naukowo-szkoleniowe Sekcji Osteoartrologii PTL oraz był współorganizatorem dwóch sympozjów: „Inżynieria Ortopedyczna i Protetyczna”.

Aktualnie jest ekspertem Komitetu Badań Naukowych Republiki Czech (GACR) i członkiem Komisji Inżynierii Rehabilitacyjnej Polskiej Akademii Nauk. Za osiągnięcia naukowe oraz dydaktyczno-organizacyjne został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi, nagrodą Polskiego Towarzystwa Histochemików i Cytochemików oraz pięciokrotnie nagrodami Rektora.

Jest żonaty, ma 2 córki; Joanna jest architektem, Mariola lekarzem medycyny.



Listy do redakcji

Szanowny Panie Redaktorze, przykro mi, ale do (bardzo dobrze się czytającego) tekstu prof. Dobrońskiego wkraść się bardzo przykry błąd!

A ponieważ bywa, że one szybko się utrwalają (szczególnie, że profesor specjalizuje się m. in. w historii wojskowości) – proszę o zamieszczenie sprostowania.

Płk Stanisław Dąbek nie był „we wrześniu 1939 roku obrońcą Helu”!!

Pułkownik „Miał 47 lat kiedy wyznaczono go na dowódcę Lądowej Obrony Wybrzeża. Swoją funkcję objął dopiero 23 lipca 1939 r.”

Tak więc pułkownik Dąbek bronił m. in. Gdyni, a następnie Kępy Oksywskiej, gdzie – tuż przed kapitulacją 19 września 1939 roku odebrał sobie życie.

Polecam strony:

http://www.gdynia.pl/?co=inf_miejski/panteon_dabek

<http://www.mw.mil.pl/index.php?akcja=patron1mps>

A bohaterską obroną Helu we wrześniu 1939 roku dowodził kontradmirał Józef Michał Hubert Unrug, i poddał go dopiero 1 października 1939 roku.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Tadeusz Zaleski

Sopot



List od dr. **Wacława Bodnara**, który co roku spędza letnie miesiące na Ukrainie, wędrując po dawnych polskich Kresach. Jego artykuł „Festiwalowe szaleństwo” o polskich śladach i Polakach, którzy przetrwali na tych terenach, zamieściliśmy w numerze lutowym „Medyka”, nr 2/2006.

Oto jestem w Chersoniu w towarzystwie naszych Rodaków. Przed miesiącem zmarł prezes Towarzystwa Polaków Chersonia – Bolesław Dziewszulski, herbu „Wczele” – człowiek bardzo zasłużony, niekwestionowany przywódca naszej społeczności, poważany przez konsulat. Stało się wielkie nieszczęście!

Mam przyjemność oznajmić, że nasz kościół odbudowany w stanie surowym, prezentuje się bardzo korzystnie. Fronton kościoła zdobi wysoka wieża, na której już zainstalowano dzwon (oby wiecznie dzwonił), poświęcony generałowi Mariuszowi Zaruskiemu.



Druga miła wiadomość dotyczy sławnej wsi Busza pod Janpołem, w której zachowały się relikty dawnych plemion – Alanów i w której odbywają się plenery artystyczne. Uzgodniłem z Okręgową Izbą Lekarską w Warszawie, że co roku może oddelegować sześcioro, a nawet ośmiu lekarzy-artystów na dwutygodniowe warsztaty artystyczne. Tegoroczne warsztaty będą trwały od 1 do 15 sierpnia i zbiegną się z Festiwałem Sztuki, którego rozpoczęcie planuje się na 15 sierpnia. Organizatorem Festiwalu jest Aleksander Aleksandrowicz Pirniak.

Od dwóch lat widzę na Ukrainie wielkie zmiany w zaopatrzeniu i to nie tylko w żywność. Zwracają uwagę ubiory europejskie, a przede wszystkim niemieckie samochody, poruszające się po drogach w całym kraju. Widać, że elita Ukraińców jest „utechniczniona” i coraz bogatsza. Szkoda tylko, że odbywa się to, tak jak u nas, kosztem społeczeństwa.

Niepokoї mnie też, że język polski w kościołach katolickich na Ukrainie zaczyna zanikać. Odbywa się to przy akceptacji niektórych księży. Podobno w niektórych kościołach grecko-katolickich wprowadza się język rosyjski. To zjawisko nie zachodzi oddolnie, niewątpliwie jest częścią polityki państwa.

Chersoń, 19.06.2006 r.



Przeczytane

Jako że sezon mamy ogórkowy i poważnych tematów nie za wiele, można chyba powrócić do serialu pod tytułem: podróż karetką z ciężko chorym pacjentem od szpitala do szpitala. Tym razem pacjentką była 84-letnia kobieta, którą karetka wozila przez dwie godziny.

Starsza pani miała napady padaczkowe, co tak zdezorientowało lekarzy dyżurnych, że ci skierowali ją najpierw na neurologię, potem na internę (ale to już w innym szpitalu). Tam z kolei pacjentka dostała kolejnych ataków epilepsji, w związku z czym tą samą karetką wróciła tam, skąd przybyła – w celu diagnozy infekcji. Dwa szpitale, pięć wizyt, czyli taka nasza podlaska, mikroafernalna norma. Ot, dwie kolumny w lokalnej gazecie, wypowiedzi dyrektorów szpitali (PSK-a i miejskiego), oczywiście pod hasłem „nic się nie stało” i sprawa przycichła.

Przycichła, bo jest gorąco i nikomu nie chce się o takich rzeczach myśleć.

W sumie aż dziw, że pacjentka przeżyła eskapadę w takich warunkach. Gdyby nie przeżyła – byłby artykuł na pierwszej stronie. A tak? Góra dwie kolumnienki.



Nie tak dawno opisywaliśmy przypadek docenta Hirnlego, który padł ofiarą, nazwijmy to – układu w SPSK-a. Układu jednoosobowego, ale działającego wyjątkowo sprawnie. Prowokacja z wręczeniem łapówki, błyskawiczne działania prokuratury, która przesłuchiwała wszystkich poza samym zainteresowanym (bo była przekonana o jego winie), areszt, niesława. Docent Hirnle już wie, że zadzieranie z doktorem S. nie popłaca. Wprawdzie niedawno kulisy całej spawy wyszły na jaw (dzięki telewizji TVN i lokalnej prasie), ale jest to jawność mocno ograniczona. To znaczy – wszyscy już wiedzą o co chodzi, ale akta policyjnej prowokacji wobec

docenta nadal są przez policję utajnione, a to nie pozwala prowadzącej sprawę Prokuraturze Apelacyjnej z Krakowa na podjęcie stosownych działań.

Żeby było śmieszniej, doktor S. nie obraził się jakoś szczególnie na nasz wymiar sprawiedliwości, bowiem chętnie skorzystał z wyroku sadu pracy, który nakazywał przywrócić go do pracy w SPSK-a. I zjawił się w szpitalu, ku konsternacji przełożonych i ofiary, którą dotknęła ta „obywatelska prowokacja”. Wszystkim, którzy łączą go ze sprawą docenta Hirnlego grozi procesem.

W tzw. „środowisku medycznym” spekuluje się, że twar- da postawa to pochodna znajomości z osobami z kręgu władzy, którymi chwalił się publicznie doktor S. Władza swoich nie ściga, co oczywiste. Zwolać konferencję prasową, pokazać ludowi niszczarkę – proszę bardzo. Ale jakaś mętna sprawa z prowincji, nagłaśniana przez TVN? A kogo to obchodzi? Oj, chyba nie o znajomości tu chodzi, tylko o totalny brak zainteresowania. Docentowi Hirnle podpowiadamy: należy wystartować w wyborach samorządowych i złożyć wniosek o autolustrację. A potem podnieść raban, że brak działań prokuratury to sprawa polityczna. Powinno zadziałać.



Pewien wysokonakładowy, odprowadzający zyski ze sprzedaży za naszą zachodnią granicę, dziennik brutalnie zaatakował strajkujących lekarzy. Opublikował ich zdjęcia, nazwiska, specjalizację i opatrzył te dane podpisem: „terrorysty”. Treść artykułu nie odbiegała zresztą od jego tytułu. Można było w nim znaleźć np. takie kwiatki: „Sześć łódzkich terrorystów zarabia krocie i otacza się luksusem, a mimo to ma czelność zostawiać chore dzieci bez pomocy”, itd., itp. Na końcu zaś czytamy: „Z terrorystami, którym w dodatku rząd obiecał miliardy złotych, trzeba postępować twardo! Oni już pokazali, że nie mają sumień, więc rozmowa z nimi nie ma sensu! Czas na radykalne rozwiązania!”

Jak należy postępować z tymi, którzy nas wyzywają od terrorystów pokazał nie tak dawno Zinedine Zidane. On też uznał, że rozmowa z takimi ludźmi nie ma sensu.

I dostał Złotą Piłkę.



Lekarze z Ogólnopolskiego Związku Zawodowego zwrócili się do ministra Ziobro z prośbą o wszczęcie śledztwa w sprawie wyzysku w służbie zdrowia. Minister wprawdzie zdziwił się w duchu, że zawracają mu głowę czymś, co nie jest doniesieniem na partię ze słowem „platforma” w nazwie, tudzież hiperważnym tematem doniesień sprzed 30 lat Pana X na Pana Y, ale nie powiedział „nie”. Więc może jest to sprawa rozwojowa.

Strajkujący lekarze stwierdzili w swoim wystąpieniu: „Biali niewolnicy zmuszani są do świadczenia pracy nawet przez 55 godzin bez przerwy i 300, niekiedy 400 godzin miesięcznie. W przeciwnym przypadku spycha się ich do szarej strefy.”

Spróbujmy prześledzić tok myślenia twórców zawiadomienia: minister rozpocznie śledztwo przeciwko własnemu rządowi, wsadzi za kratki ministra Religę i pominięciem milczeniem zawiadomienia o nielegalnych zarobkach lekarzy. „Ale im pokażemy!”. Trzymamy kciuki.

aha

Kursy, szkolenia, konferencje

AKE ORDO specjalizuje się w organizacji kursów, szkoleń i konferencji, głównie o tematyce związanej z sektorem ochrony zdrowia.

Studia Podyplomowe

W ofercie AKE ORDO znajdują się Studia Podyplomowe „Zarządzanie i finanse w ochronie zdrowia”, organizowane z Akademią Ekonomiczną we Wrocławiu, prestiżową, specjalistyczną, państwową uczelnią wyższą, która od kilkunastu lat prowadzi studia z zakresu ochrony zdrowia. Zajęcia odbywają się w Białymstoku i we Wrocławiu, trwają dwa semestry i kończą się obroną pracy dyplomowej oraz uzyskaniem dyplomu akceptowanego przez MEN.

Doradztwo

AKE ORDO Sp. z o.o. świadczy usługi z zakresu doradztwa biznesowego, prawnego, negocjacyjnego, zarządzania projektami, controllingu. Dodatkowo specjalizuje się w świadczeniu usług doradczych, związanych z udzielaniem pomocy Klientom ubiegającym się o środki finansowe z funduszy strukturalnych Unii Europejskiej.

Księgarnia wysyłkowa ORDO

Oferuje książki m. in. z zakresu zarządzania, finansów, prawa, ubezpieczeń, ekonomii, marketingu.

Nowość:



Komersjalizacja i prywatyzacji ZOZ. Kluczowe warunki osiągnięcia sukcesu,

pod redakcją dr Maril Węgrzyn i Dariusza Wasilewskiego

Wydawnictwo Akademii Ekonomicznej we Wrocławiu 2006

stron 273

oprawa miękka

Ta i inne pozycje do nabycia w księgarni internetowej www.ordo.info.pl

Korzystając z wiedzy i doświadczeń pochodzących z tworzenia ubezpieczeń zdrowotnych oraz wykorzystywania funduszy unijnych, udało się naszej firmie zaprojektować bezpłatne szkolenia, do udziału w których serdecznie zapraszam.

Zapewniają one zdobycie specjalistycznej wiedzy na najwyższym poziomie, szczególnie przydatnej w tak intensywnie zmieniającym się systemie opieki zdrowotnej. Jednostki medyczne będą dobrze i efektywnie działały tylko wtedy, gdy zarządzający umożliwią pracownikom doskonalenie swych umiejętności. Zaproponowane szkolenia są wyjątkowe i jedyne tego typu w Polsce. Powstały w wyniku współpracy z wybitnymi ekspertami i naukowcami.

Zapraszam do skorzystania z tej wyjątkowej okazji tak, by Państwo, a poprzez to opieka zdrowotna na Podlasiu mogła zwiększyć swoją jakość i potencjał.



Koordynator Projektów

Dariusz Wasilewski

(pierwszy dyrektor i organizator Podlaskiej Kasy Chorych)

AGENCJA
ordo
KONSULTINGOWO-EDUKACYJNA

Agencja Konsultingowo-Edukacyjna
ORDO Sp. z o.o.

ul. Elektryczna 1, 15-080 Białystok
tel: 085 73 222 03, fax: 085 74 060 26
e-mail: biuro@ordo.info.pl, www.ordo.info.pl





ZŁOTA SERIA INTERNY POLSKIEJ



ZŁOTA SERIA INTERNY POLSKIEJ to wspólna inicjatywa Towarzystwa Internistów Polskich (w 100-lecie powstania) i Wydawnictwa Lekarskiego PZWL (z okazji rocznicy 60-lecia działalności) opublikowania najbardziej znaczących polskich podręczników i monografii dotyczących nauki o chorobach wewnętrznych.



Jest to seria uaktualnionych wydań dzieł, które na trwałe wpisały się w dzieje medycyny polskiej, ponieważ stanowiły podstawę wykształcenia wielu pokoleń lekarzy i wywarły istotny wpływ na kształtowanie ich osobowości zawodowej, oraz nowe pozycje, które powinny znaleźć swoje stałe miejsce w biblioteczkach zawodowych lekarzy, dobrze służąc ich pracy na rzecz ludzi chorych.